

-f

Okładką i strony tytułowe projektowała **;f-**
EWA LASKIEWICZ-ALBIŃSKA



10010244

Redaktor
GRAŻYNA PUŁASKA

3hhz. Magazyn

Jfoł-



Wydawnictwo Łódzkie
Łódź 1990

Wydanie pierwsze. Ark. wyd. 4,27. Ark. druk. 5,25. Papier
off. ki. 111/70 g, 61 X 86 em. Skład, druk i oprawę
wykonała Drukarnia Oświatowa im. St. Staszica. Łódź,
ul. Kominiarska 1. Zam. nr 646/ko.

© Copyright by Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1990
ISBN 83-218-0897-2

K/^/2/4930

PROLOG

Pod koniec 1986 roku i w styczniu 1987 w okolicy Przygłowa miały miejsce dziwne zdarzenia: oto nieznany osobnik zaczął uprowadzać nieletnich chłopców na teren kolonii domków letniskowych w pobliskim Włodzimierzowie. Na dobrą sprawę nikt dokładnie nie wiedział, kogo i kiedy uprowadzono, ponieważ rodzice chłopców nie informowali milicji o tym fakcie. Chłopcy ponoć wracali cali i zdrowi — co prawda późno — a ich opowieściom można było wierzyć lub nie, w tym wieku bowiem młodzież lubi fantazjować, szczególnie jeśli pragnie usprawiedliwić swój późny powrót do domu.

Przygłów posiada wszystkie cechy miejscowości wypoczynkowej: do Piotrkowa Trybunalskiego jest zaledwie dziewięć kilometrów, obok wsi przepływa rzeczka Luciąża, która tuż za ostatnimi budynkami wpada do Zalewu Sulejowskiego, największego zbiornika wodnego w centralnej Polsce. Jeśli jechać drogą na południowy wschód, w odległości pięciu kilometrów leży znana w kraju miejscowość wypoczynkowa Sulejów, przez którą przepływa Pilica. Dodajmy do tego wielkie kompleksy leśne, pola namiotowe, ośrodki wypoczynkowe i przystanie nad Zalewem, a obraz wsi Przygłów oraz jej sąsiedztwa będzie niemal pełny.

Tuż obok Przygłowa znajduje się Włodzimierzów. "Właściwie obie miejscowości łączą się ze sobą, choć stanowią odrębne jednostki administracyjne. Włodzimierzów to teren kolonii domków



letniskowych, rozrzuconych po lesie. Jeszcze w czasach wznoszenia drugiej Polski co znaczniejsi i bogatsi obywatele Piotrkowa Trybunalskiego, nie czekając na pałace i zamki, zaczęli budować sobie domki rekreacyjne. W ten sposób powstały zręby tej drugiej, płynącej mlekiem i miodem, ojczyzny. Kolejne lata wykazały absurdalność planów Wielkiego Budowniczego, a wiatr historii, który przewalił się nad Polską, zmiotł stare koncepcje wraz z ich twórcą. Pozostały jednak owe budowle w okolicznych lasach i nad rzekami, do których po dziś dzień zjeżdżają mieszcuchy spragnione „natury”.

Powyższy szkic topograficzny nie jest przypadkowym wtrętem: takie właśnie otoczenie miało kapit.:¹ - ' : --.

Mali chłopcy, powracający w późnych wieczornych do domów, często opowiadali o jakimś tajemniczym mężczyźnie, który ich porywał, wiódł gdzieś do Włodzimie ;akiegoś domku letniskowego i tam przetrzymywał. Op~... ły nieskładne, często sprzeczne, choć ktoś sumienny i dc :nógłb,y z nich wyłuskać pewne cechy wspólne.

Z reguły wszystko zaczynało się późną p, - na dobre chowało się za horyzontem, a ulice Pr. ^ .,wała fioletovoszara ciemność. Z tej ciemności **wyłaniał** się młody, szczupły mężczyzna z gładko zaczesanymi na **bok** ciemnymi włosami i wąsikiem. Szedł wolno, jakby trafił tu po raz pierwszy. Rozglądał się. Jeśli dostrzegał chłopca w **widm** dziesięciu, trzynastu lat, zatrzymywał go. Pytał o kościół, **który** chciałby zwiedzić. Chłopiec wskazywał kierunek. Mężczyzna kręcił głową, mówił, że nie trafi, bo przecież jest coraz ciemniej. Jeszcze gdzie zabłądzi, nieopatrznie wejdzie do **któregoś** obejścia, gdzie mogą napaść na niego psy. „Może mnie zaprowadzisz?” — prosił. Chłopiec zgadzał się, bo niby co wielkiego wrócić parę kroków.

Kiedy zaczynali zbliżać się do ciemniejącej sylwetki kościoła, mężczyzna wyciągał nóż (wszyscy chłopcy twierdzili, że była to finka) i grożąc nim rozkazywał ofierze iść ze sobą i zachowywać się spokojnie. Potem krępował ręce chłopca sznurkiem, na głowę wciągał worek foliowy, czasem plastrem zaklejał usta.

Ofiara potykała się, czuła pod stopami nierówności terenu,

otem słyszała trzask zamka przy furtce, następnie otwieranie
∴ Dusząc się pod folią, wystraszona, niemal wleczona, nie
... witanie zapamiętać czasu trwania marszu. Każdy z chłop-
_w twierdził potem, że szli bardzo długo i daleko.

Kiedy wreszcie mężczyzna zdejmował chłopcu worek z głó-
y, ten stwierdzał, że jest w jakimś domku; widział tapczan,
• raty w oknach, trochę sprzętów. Nieznajomy palił papierosa
papierosem, zachowywał się nerwowo. Rozkazywał ofierze
. • zebrać się i położyć na tapczanie, sam także się rozbierał i kładł
bok. Chłopcy mówili, że cały czas bardzo się bali. Mężczyzna
ednak tylko ręką gładził swe ofiary po szyi, ramionach, pier-
siach i brzuchu. Mógł to robić godzinami. Potem nagle wstawał,
kazał się ubierać, krępował chłopcu ręce i wcisnąwszy folię na
głowę wyprowadzał go. Aby ofiara nie mogła zapamiętać, gdzie
była, okrążał z nią pnie wiekowych sosen, kluczył, często pro-
wadził nad brzeg Luciąży. Tam zostawiał: skrępowaną i z wor-
kiem na głowie.

Zanim chłopiec się wyswobodził, mijało sporo czasu. W domu
;e zawsze dawano wiarę opowieściom o tajemniczym niezna-
nym, a gdy ktoś z rodziców rozpoczynał poszukiwania, nie przy-
nosiły one żadnego rezultatu. Nowe ślady na śniegu prowadziły
donikąd, gdyż ginęły wśród setek pozostawionych na drogach
: ścieżkach.

r

WYSZLI I NIE POWRÓCILI

Dzień 29 lipca 1988 roku (piątek) był **ciepły i kto żyw** starał się znaleźć nad wodą. Dla Piotrkowa Trybunalskiego popularnym kąpieliskiem jest zalew na rzeczce Wierze;- - mywany popularnie Bugajem. W dni świąteczne i wolne o". _ brzegi rzeki roją się od ludzi zażywających kąpeli wodnych i słonecznych. Natomiast w dni robocze, szczególnie w **okresie** wakacji szkolnych, zbierają się na Bugaju młodzi chłopcy, **aby** popływać, poopalać się lub by nałowić rozwielitek dla **rybek hodowanych** w domowych akwariach.

Tego dnia rano z Woli Kamockiej w gmir.i" "" wybrał się do Piotrkowa Ryszard Kawczyński z dwu.- synem Arturem. Jechał do szwagierki, Marii Czesławy **Łojek**, na ulicę Bystrą 20, bo ustalili, że jej syn Robert **pobędzie jakiś** czas u nich, w Woli Kamockiej, natomiast Artur u **Łojków** w Piotrkowie.

Wizyta u szwagierki trwała krótko i **gdzieś o wpół** do dziesiątej rano Ryszard Kawczyński powrócił na **wieś**.

Chłopcy, jedenastoletni Tomasz **Łojek** i **Artur** Kawczyński, początkowo bawili się w domu i Maria **Łojek** nie zwracała na nich specjalnej uwagi. Potem wbrała się **do** miasta zapowiadając, aby nigdzie nie wychodzili, bo zaraz po powrocie przygotuje obiad.

Maria **Łojek** wróciła do domu około trzeciej po południu i bardzo się zdziwiła, że chłopców nie ma. W pierwszej chwili pomyślała, że zapewne pojechali rowerami, jak to często robili,

. pobliski staw, ale okazało się, że rowery stoją w komórce.
• nerwowała się bardzo. Sąsiedzi, gdy zaczęła ich zagadywać,
-wiele mogli powiedzieć. Byli tu przed chwilą — mówili —
;-jtem chyba gdzieś poszli.

Maria Łojek niczym gradowa chmura zakrzątnęła się przy odzie, lecz niepokój jej nie opuszczał. Zrzuciła więc fartuch
cszła do Stanisława Kaczmarka, do którego syna, Krzysztofa,
sto chodził jej Tomek. Zabudowania Łojków i Kaczmarka
jdują się w pobliżu siebie, na tej samej ulicy Bystrej.

— Nie ma tu mojego Tomka? — zapytała.

— Był z Arturem, ale razem z moim Krzyśkiem pojechali na
"gaj-

—• Dawno?

— Stąd wyszli gdzieś około jedenastej. Nie ma się co martwić,
wróca. Bo to pierwszy raz tam jada! Ja Krzyśka namawiałem
przed wakacjami, żeby pojechał na kolonie, ale gdzie tam! Jak
aou kupiłem rometa, to cały czas by tylko jeździł i jeździł.

— Taka jestem niespokojna — powiedziała Maria Łojek. —
Zęby im się tylko co nie przytrafiło.

— Co może przytrafić się chłopcom w biały dzień? Wykapią
taq i wróca.

— Przetrzepię swojemu skórę, niech się ino pokaże. Zawsze
pytał, a teraz bez uprzedzenia zostawił mieszkanie i poszedł.

— Poszli wszyscy razem, więc nie ma co robić gwałtu.

— Mimo wszystko...

— Ta znów swoje! Bo to raz jeździli na Bugaj? I co? I nic.
Zawsze wracali. Poczekajmy, przegłodzą się, to przybiegną, nikt
ich nie nakarmi.

— Prawda, Tomek nie miał pieniędzy.

— Mój Krzysiek też. Tylko patrzeć, jak się zjawia.

Dzień mijał w słońcu, wkrótce nadszedł wieczór, a potem noc.
"tanisław Kaczmarek wsiada na motor, zabiera ze sobą Henryka
jka i jada do Woli Kamockiej, sądząc, że chłopcy po prostu
pojechali*do Artura, który hodował rasowe króliki.

Niestety, chłopców nie było. Teraz niepokój ogarnia trzy ro-
"~y. Ryszard Kawczyński proponuje, by spenetrować brzegi

zalewu. Wszyscy się zgadzają, choć jest noc i niewiele można zobaczyć. Mężczyźni odjeżdżają i przez wiele godzin przeszukują mokre od rosy pobocza Bugaju, krzyczą, wołają, świecą latarkami. Bezskutecznie. Woda matowo połyskuje odbijając gwiazdy, a horyzont zasłania czarna ściana lasu. Trzej mężczyźni snują najrozmaitsze przypuszczenia, nawet że chłopcy się potopili. Gdyby jednak tak było, pozostałyby po nich ubrania na brzegu, a przecież sprawdzili tu niemal każdą trawkę.

— Co robimy? — pyta któryś.

— Jest noc, niewiele możemy, rano zaczniemy **na nowo**.

— Trzeba zawiadomić milicję.

•→ Koniecznie.

— Ja to zrobię — mówi Stanisław Kaczmarek. — Wracajmy.

W Rejonowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych **już** wiedzą o zaginionych chłopcach, bo telefonowała w tej sn^u.ip Maria Łojek. Przyjmują zgłoszenie od Stanisława Ka i Ryszarda Kawczyńskiego.

Nazajutrz (sobota, 30 lipca 1988 roku) do akcji poszukiwawczej włączają się wszyscy członkowie rodzin. **Stanisław Kaczmarek** angażuje nawet kilku chłopców z osiedla Szczekanica. Penetrują strzelnicę i jej okolice, raz jeszcze Bugaj, pytają rówieśników zaginionych chłopców. Ci potwierdzają, **że w piątek** ich tu widziano, jak się kąpali, ale dokąd poszli, **nikt** nie wie. Pozostała jeszcze jedna możliwość: Zalew **Sulejowski!** Przecież to tak blisko, jakieś dziewięć kilometrów!

Całą sobotę i niedzielę rodzice trzech zaginionych chłopców, trzymając w rękach fotografie swoich synów, **zatrzymują** ludzi przebywających w Bronisławowie, w Białej, docierają na pola namiotowe, do Zarzecza. I właściwie zawsze znajdują kogoś, kto rozpoznaje na zdjęciu tego lub owego chłopca. Te identyfikacje, często wykluczające się wzajemnie, spowodowały, że nadzieja odnalezienia synów nie opuszczała poszukujących. Ani przez moment nikt nie dopuszczał do siebie myśli, że chłopcy nie żyją. Oto starsza nauczycielka przysięga, iż widziała w Bronisławowie Krzysia Kaczmarka, nawet pamięta, że było to około drugiej po południu. Młode małżeństwo na przystani natomiast za-

iętało Artura Kawczyńskiego, który jakoby przebywał tu sobotę. Wszyscy, nagabywani długo, wpatrują się w fotografie, dają, potem zaczynają coś sobie kojarzyć: a to że skakał z postu, a to, że pływał z kimś żaglówką, to znów, że właśnie ta-jeden, kropka w kropkę jak ten na zdjęciu, kręcił się na egu.

Najważniejszą wskazówką, która skierowała poszukiwania na żywą drogę, była informacja, że w Zarzęcinie widziano jategoś potężnego brodacza w towarzystwie trzech chłopców.

Stanisław Kaczmarek od razu tam pojechał. W Zarzęcinie mieścił się obóz zuchowy i dziewczynki jedna przez drugą zaczęły opowiadać o tajemniczym brodaczu, który z grupką chłopów przechodził przez ich obóz w kierunku Zalewu. Jedna dziewcząt rozpoznała na zdjęciu Tomasza Łojka. Ale Stanisław Kaczmarek nie dowierzał temu, bo przecież raz po raz ktoś rozznawał któregoś z chłopców, a potem okazywało się, że takie poznanie prowadzi donikąd.

Wychowawczynie zuchów potwierdziła, że przez jej obóz dwukrotnie przechodził wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna ubrany w dres, słomkowy kapelusz, a do pasa miał przytroczony toporek nóż w pochwie. Tę informację przedrukowała prasa wraz z komunikatem o zaginionych. Od razu też zrodziły się plotki. Jedna nich podawała, że chłopcy uciekli za granicę, inna, że stali ofiarami kidnaperów i należy lada dzień oczekiwać listu z żaniem okupu, jeszcze inne, że — jak to chłopcy w tym wieku zapragnęli przeżyć przygodę i pojechali w tak zwaną Polskę. Stanisław Kaczmarek był dociekliwy: sprawdzał każdą informację, nawet nieprawdopodobną, jechał wszędzie tam, skąd "chodziły wiadomości, że widziano trzech chłopców kąpiących łąb tylko idących wzdłuż brzegu Zalewu Sulejowskiego czy zki Wierzejki.

Równolegle z penetracją okolicy przez rodziców zaginionych opców dziesiątki a potem już setki milicjantów przetrząsały bliskie lasy: funkcjonariusze wypytywali kolegów Tomasza jka, Artura Kawczyńskiego i Krzysztofa Kaczmarka, przesłuli kierowców autobusów kursujących na trasie Piotrków Try-

bunalski — Bugaj, grzybiarzy, mieszkańców okolicznych wsi. Zebrany materiał dochodzeniowy był spory, ale nie natrafiono na żaden ślad, który prowadziłyby do miejsca pobytu chłopców.

Nie bez znaczenia były także charakterystyki złożone przez rodziców. Chodziło o to, czy któryś z zaginionych chłopców w przeszłości nie próbował ucieczek z domu, nie miał powiązań z elementem przestępczym, marginesem społecznym. Okazało się jednak, że cała trójka była spokojna, żaden nie sprawiał kłopotów wychowawczych; dobrzy uczniowie. Krzysztof Kaczmarek miał dwóch braci: Artura, lat piętnaście, i Adama, lat czternaście. Jeśli chciał jechać na Bugaj, zawsze pytał rodziców o pozwolenie, i wracał po dwóch, trzech godzinach. Ukończył właśnie piątą klasę w Szkole Podstawowej nr 6. Był zawsze wzorowym uczniem, wielokrotnie nagradzany za naukę. Rodzice **byli** dumni z Krzysia, bo był rozsądny, rezolutny, samodzielny i chętny do każdej pracy. Ojciec dlatego właśnie kupił mu **motorynkę** „Romet” — • obiekt zazdrości kolegów z klasy, ba, z całego osiedla. Do tego Krzysć ćwiczył dżudo i karate.

Tomasz Łojek miał brata Roberta, starszego od siebie o dwa lata. Był chłopcem posłusznym, bardzo przywiązanym do matki, spokojnym. Właściwie znał tylko drogę z domu do szkoły i z powrotem. Sam nigdy nie oddalał się, a jeśli chciał odwiedzić kogoś z kolegów, to zawsze prosił matkę o pozwolenie. **Jego** pasją były znaczki pocztowe i nad klaserem mógł siedzieć godzinami.

Artur Kawczyński pochodził z Woli Kamockiej. Jego matka i matka Tomasza Łojka są rodzonymi siostrami. **Artur był** chłopcem spokojnym, nawet bojaźliwym, bał się ciemności, bał się zostawać sam w domu. Jeśli wieczorem miał zamknąć na noc kaczki, zabierał ze sobą młodszą siostrę. Uczył się dobrze i miał typowe dla jego wieku zainteresowania: zbierał znaczki, hodował rybki, króliki, bardzo lubił grać w piłkę nożną.

Tak więc ucieczka z domu nie wchodziła w rachubę. Rodzice, którzy w ogromnym napięciu, dnie i noce poświęcając na przemierzanie rozległego terenu (Bugaj—Zalew Sulejowski), poszukując swoich dzieci, ani przez moment nie tracili wiary w ich odnalezienie. "Tie dopuszczali też myśli, że spotkało je najgorsze.

Dzięki ich uporowi i konsekwencji, a także temu, że fotografie chłopców pokazano w telewizji, twarze ich dzieci stały się powszechnie znane. Niestety, wszystko na nic. Wśród tysiąca śladów nie było tego jedyne, najważniejszego. Jakby chłopcy zapadli się pod ziemię.

ZWŁOKI W LESIE

5 sierpnia rano Edward S. wybrał się na grzyby. Poprzedniego dnia także przemierzył sporą połąć lasów ciągnących się od Bugaju w stronę wsi Koło. Wyprawa opłaciła się, więc postanowił, że nazajutrz raz jeszcze pójdzie w to samo miejsce. Wiadomo powszechnie, iż w ciągu nocy grzyb potrafi wyrosnąć ponad leśną ściółkę. Edward S. nie śpieszył się, znał las i wiedział, że nikt go nie uprzedzi. Około godziny wpół do jedenastej wyprowadził rower, przytroczył doń torbę i pojechał. Po obu stronach drogi łączącej Piotrków Trybunalski i Koło ciągną się kompleksy leśne. Edward S. wjechał w las po prawej stronie drogi, jakieś półtora kilometra od wsi Koło. Szczęście i tym razem dopisało. Około godziny drugiej po południu torba była pełna. Należało wracać. Edward S. szedł leśnym duktem, którym wracał poprzedniego dnia. Dostrzegł był wtedy smużki dymu unoszące się z jakiegoś ogniska. „Pewnie palą się okrągłaki” — pomyślał podchodząc bliżej. Z tej odległości — mniej więcej ośmiu metrów — wyraźnie widział ustawiony „koziołek”. Zresztą słyszał w pobliżu odgłosy pracy leśnego pilarza: zgrzyt piły, trzask padającego drzewa. Tu gdzie stał, znajdował się także kubik — złożone, pocięte pnie drzew. I właśnie spoza tego kubika doszedł uszu Edwarda S. głos, jakiś dziwny, bo jakby go wołający, jakby pragnący z nim rozmawiać. Edward S. poczuł się nieswojo: był sam, pilarz gdzieś tam buszował w oddali, a ten głos — niewyraźny, dziwny — nieustannie coś mówił, nawoływał, może prosił, a może ostrzegał. Dziś Edward S. nie potrafi tego wy-

jaśnie, podobnie jak nie potrafi wytłumaczyć sensu dochodzących wówczas do niego dźwięków czy słów.

To było wczoraj; teraz postanowił podejść bliżej i sprawdzić, co też się wczoraj paliło. Już nie było ognia ani dymu, za to brzęczały roje much, które od razu obsiadły jego twarz. Kiedy podszedł zupełnie blisko, dojrzał jakieś szmaty i coś niby mięso czy też świńskie półtusze. I nagle oniemiał: przed nim leżały ludzkie ciała! Wyraźnie dostrzegał dziecięcą nóżkę i spalony tułów. Tylko że teraz dzieci były ułożone w trójkąt, ich ciała nie stykały się ze sobą... Dopiero po chwili poczuł duszący odór, zapierający dech w piersiach.

Edward S. stał i patrzył. Czuł ogarniającą go **falę** gorąca, sztywność nóg, które nagle przestały go słuchać i za nic nie chciały się poruszyć, by go oddalić od tego przerażającego widoku. Nie ma pojęcia, ile upłynęło czasu, lecz w pewnym momencie poczuł strach. Uczucie to było tak silne, że nie **wie**, którą ręką wracał, z jaką szybkością i czy jechał na **rowerze**, czy też rower cały czas prowadził. Wpadł do domu roztrzęsiony i urywanymi zdaniem opowiedział żonie o tym, co znalazł na leśnym dukcie.

To był pamiętny dzień w życiu Edwarda S. **Makabryczne** znalezisko sparaliżowało jego wolę i przestał logicznie rozumować.

— Trzy trupy — mówił do żony. — Rozumiesz: **trzy** spalone ciała!

— Nie przywidziało ci się?

— Myślałem, że masarnia lub ubojnia przywiozła odpady i spaliła. Nawet z daleka tak to wyglądało.

— Skąd wiesz, że to ludzie? — nie dawała za wygraną żona. — Przecież, jak mówisz, wszystko jest owinięte szmatami.

— Tam są nogi i ręce, takie jakieś małe...

Zapada milczenie. Edward S. ciągle przeżywa strach, który ogarnął go jeszcze tam, w lesie. Ten strach odbiera mu wolę, zaciemnia umysł, paraliżuje, a jednocześnie każe uciekać, skryć się gdzieś przed ludźmi i przed samym sobą.

— Gdy wracałeś, spotkałeś może kogo po drodze?

- Nie wiem, nie pamiętam.
- Z nikim nie rozmawiałeś?
- Z nikim.

Córka w tym czasie spała w drugim pokoju, więc Edward S. :- czas mówił szeptem — a może ów przytłumiony, syczący — 05 był wynikiem przeżytego szoku.

- A ona? — wskazał na drzwi sypialni.
- Niech śpi, po co ją w to wciągać.
- Mijają długie, zda się bez końca, minuty.
- Musisz zawiadomić milicję — mówi nagle żona.

Edward S. kuli się, czuje suchość w ustach.

- Nie, nie — broni się słabo.
- Musisz, to zbyt poważna sprawa.

Edward nagle zrywa się, podchodzi do żony i z bliska patrzy 3 w oczy.

- A jeśli powiedzą, że to ja?

— Ty? — Żona jest spokojna, już się opanowała. — Bzdura. z do Gminnej Spółdzielni i stamtąd zadzwoń. No, idź już, idź! Jest godzina około wpół do czwartej po południu i słońce edawno opuściło zenit, zniżając się powoli ku horyzontowi.

- Idź, innego wyjścia nie ma.

Edward S. idzie do budynku Gminnej Spółdzielni i telefo- uje.

Radiowóz milicyjny zjawia się przed domem po paru minu- • eh.

Była godzina szesnasta dnia 5 sierpnia 1988 roku.

Potem, przed Sądem Wojewódzkim w Piotrkowie Trybunał- .-im, Edward S. relacjonując to wydarzenie opowie także i o tym, rk milicjanci, po przywiezieniu do komendy, zaczęli okładać _o pięściami, aż spadł mu zegarek z ręki. A kiedy znaleźli się

• lesie, nad zwęglonymi ciałami chłopców, kazali mu się roze- :rać do naga i polecieli wybrać sobie sosnę na której zostanie na- :vchmiast powieszony. Tu, w lesie, złożył także swoje pierwsze -?znania i je podpisał. „Tego dnia i nocy — mówi S., a proto- kólantka wpisuje do protokołu — chyba z dziesięć razy odwozili .-nie do domu i przywozili ponownie do komendy no i bili chcąc,

abym się przyznał do zabójstwa trzech chłopców". W końcu dobrze po północy wypuszczono go w cudzym ubraniu i w dwóch różnych, nie do pary, butach, gdyż jego rzeczy osobiste zabrano do ekspertyzy. „Na do widzenia” któryś z milicjantów go przestrzegł: „Jak piśniesz słowo, że cię tu bito, to cię zatłukę pałką!” I Edward milczał aż do procesu. Teraz przemówił i jego słowa zostały zapisane.

Tymczasem w lesie rozpętuje się istna burza: przybywają ekipy milicyjne, zjawia się zastępca szefa **Prokuratury** Rejonowej w Piotrkowie Trybunalskim, Małgorzata Ronc. Na pierwszy rzut oka można stwierdzić, iż znaleziono zwłoki trzech chłopców.

W kierunku północno-wschodnim od ulicy **Wyzwolenia** prowadzi asfaltowa droga do miejscowości Koło. W odległości czterystu metrów od tablicy oznaczającej koniec terenu miejskiego (to znaczy, Piotrkowa Trybunalskiego) w kierunku Koła, po prawej stronie, znajduje się leśny dukt prowadzący w **głęb** lasu. Jezdnia asfaltowa w tym miejscu ma szerokość pięciu metrów, a pobocze jest miękkie, nie utwardzone. Zjazd na dukt z szosy jest od niej szerszy o jakiś metr, a następnie się **zawęża** i już pomiędzy drzewami ma zaledwie około trzech metrów szerokości. Jakies piętnaście metrów od jezdni, w lesie, jest mała polanka, z której rozchodzą się dwa dukty leśne. Oba są w tym miejscu porośnięte trawą, ale ten skracający w lewo w niektórych miejscach jest bez trawy. Około pięciu metrów od polanki leży przewrócone drzewo, a obok ślad opony, pusta paczka po papierosach „Klubowe”, opakowanie po chusteczkach higienicznych. I dopiero tu, sześć metrów na prawo od środka duktu, w jeżynach, leżą ułożone w trójkąt częściowo zwęglone zwłoki. Dookoła rośnie sosnowy las i młode, dwudziestokilkuletnie dęby.

Osoby biorące udział w czynnościach dochodzeniowych, mimo że w swojej karierze widziały niejedno, są wstrząśnięte makabrycznym odkryciem. Delikatnie, jakby dotykali największego skarbu, przenoszą zwłoki do samochodów, które natychmiast ruszają, kierując się do Łodzi, do Zakładu Medycyny Sądowej Wojskowej Akademii Medycznej.

Rozpoczyna się kolejny etap pracy organów śledczych. Właści-

wie już wiadomo, że znaleziono zwłoki Krzysztofa Kaczmarka, Tomasza Łojka i Artura Kawczyńskiego, choć nie przeprowadzono jeszcze ani sekcji, ani identyfikacji przez rodziców. Mili-cjanci dwoją się i troją: teraz każdy, kto znajduje się nad Bu-gajem, jest pytany o trzech zaginionych chłopców. Nie pomi-nięto mężczyzny zatrudnionego przy parkingu na Polance ani właściciela salonu gier, ani tego, kto organizuje przejażdżki kon-ne; zeznania składa kierownik pola namiotowego, sklepikarka z warzywniaka, pracownicy restauracji „Wiktoria”, wczasowicze z ośrodków wypoczynkowych i spod namiotów (Polanka to re-jon pod Sulejowem w pobliżu Zalewu). Wszyscy kierowcy Wo-jewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej, którzy jeżdżą na trasie Miasto—Wierzeje także składają zeznania. Na-wet nauczyciele, nawet przypadkowi turyści. Wreszcie zostaje przesłuchany cały obóz zuchowy (czterdzieści pięć osób) z Zarzę-cina. Na podstawie wypowiedzi dziewcząt i chłopców, a także wychowawców powstaje portret pamięciowy tajemniczego mę-zczyzny w słomkowym kapeluszu, dresie i z toporkiem u pasa.

Opinia publiczna dość szybko dowiedziała się o znalezieniu łok. Rodzice zamordowanych zostali poinformowani nazajutrz. Miasto ogarnęło zdumienie i przerażenie. Od razu pojawiło się słowo „wampir”; dzieci zamknięto w domach, mogły wychodzić jedynie w towarzystwie dorosłych. Pojawiły się hipotezy, przy-puszczenia, plotki. Po raz pierwszy też padło słowo „sataniści”, ale karierę zrobiło nieco później gdy rozpowszechniły się w Piotrkowie Trybunalskim ulotki i napisy satanistyczne. Teraz nikt bez potrzeby nie wychodził na ulice, a każdy samotny mężczyzna, rzemykający się w świetle latarni, był brany za tajemniczego ordercę. Nad Bugajem zrobiło się pusto: dzieci, jeśli tu prze-bywały, to tylko razem z dorosłymi.

Tymczasem w Katedrze i Zakładzie Medycyny Sądowej WAM trwały czynności związane z identyfikacją zwłok i określeniem przyczyny zgonu trzech chłopców. Na stołach sekcyjnych złożo-no trzy pakunki owinięte w nadwęglone szmaty, trzy ciała ludz-kie, które zbyt długo przebywały bez pochówku w upalne dni • 'pca i sierpnia. Oto lekarze przystępują do badania pierwszego

pakunku, który okazuje się (już po identyfikacji przez Stanisława Kaczmarka) zwłokami dwunastoletniego Krzysztofa Kaczmarka. W protokole napisano między innymi: „Głowa w worku foliowym, a w nim kolorowy ręcznik frote. Poszewka przymocowana do szyi opaską z gazy, narożnik poszewki zawinięty na szczycie głowy. Dolna część tułowia owinięta tkaniną w białozielone kwiatki, oprócz niej jest też tkanina lniana, prawdopodobnie ręcznik. Część szmat jest spalona, spalone są też majtki [...] Można zobaczyć rany zadane ostrym przedmiotem, najprawdopodobniej nożem. Jest tych ran w sumie dziesięć: cztery na szyi, jedna na małżowinie usznej, jedna na skroni prawej, trzy na plecach i jedna na karku”. Lekarze stwierdzili, iż żadna z tych ran nie była śmiertelna. W okolicy **łędźwiowej** i krzyżowej zwłoki są mocno zwęglone, posiadają rozległe **ubytki** tkanki. Ogień zniszczył także twarz.

Drugi pakunek to zwłoki dwunastoletniego **Artura Kawczyńskiego** (identyfikacji dokonał ojciec, Ryszard **Kawczyński**). Głowa dziecka jest owinięta w białą tkaninę, pod nią worek foliowy, a pod nim znów tkanina, coś jakby ręcznik w kolorowe pasy. Na wysokości szyi jest to wszystko przewiązane **inną** kolorową tkaniną. Na dolnej części tułowia i na nogach tkanina jest zwęglona. W ogóle ciało jest poważnie nadpalone: klatka piersiowa po stronie prawej, dolna część tułowia i nogi są zwęglone, brak palców u rąk (spalone doszczętnie). Pełno larw much. Ran jest zaledwie trzy: jedna w okolicy nadobojczykowej lewej, dwie na plecach. Żadna z nich nie była przyczyną śmierci.

Wreszcie trzeci pakunek to zwłoki jedenastoletniego Tomasa Łojka. Były owinięte w stopioną miejscami przez ogień folię oraz w białą tkaninę, oplecione sznurkiem, na to nałożona tektura i kolejna tkanina flanelowa, (ręcznik, poszewka lub poszewka z koronką). Po obmyciu stwierdzono jedną ranę powyżej lewej małżowiny usznej, jedną na plecach, dwie na tylnej powierzchni barku lewego i jedną na nadbrzuszu. Cały tył ciała mocno zwęglony, twarz także spalona. Rany, jak w poprzednich przypadkach, nie były śmiertelne.

Lekarze stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że żaden - chłopców nie zmarł od ciosów zadanych ostrym narzędziem, natomiast zgon nastąpił w wyniku wykrwawienia się.

Specjalistyczne badania zostały przeprowadzone także w Instytucie Ekspertyz Sądowych im. prof. dra Jana Sehna w Krakowie. Zakład Chemiczno-Toksyczny tegoż instytutu wykluczyła by przed śmiercią chłopcy otrzymali któryś z chemicznych związków halucynogennych (narkotyki) lub środki nasenne czy też truciznę.

Natomiast Zakład Kryminalistyki Komendy Głównej Milicji Wiatelskiej w Warszawie szczegółowo przebadał w swoich czterech wydziałach (Fizyko-Chemicznym, Daktyloskopii, Biologii oraz w Wydziale Mechanoskopijnym) folię, papier, gazety: tkaniny, w które były zawinięte włoki. Szukano odcisków linii papilarnych. Niestety i ta ekspertyza nie wniosła niczego nowego.

Tymczasem trwały zakrojone na wielką skalę poszukiwania mordercy. Przeczesano okoliczne lasy, sprowadzono dziesiątki w milicyjnych licząc, że być może utrwalił się na ziemi jakiś d. Bieżnik opony odcisnięty w pobliżu miejsca znalezienia łok był właściwie jedynym punktem zaczepienia. Odcisnięty gument był pokazywany w warsztatach samochodowych, bany w laboratorium. Mechanicy, długoletni praktycy w zawo- e, stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że ślad mógł zostać samochód o tylnym napędzie, mający silnik z przodu. Mógł być wartburg, dacia, zaporozec, moskwicz lub fiat 125 p. więc praktycznie rzecz nie do ustalenia, gdyż po drogach Pol-samochodów tych marek jeździ najwięcej. Mimo to podda-wnikliwej kontroli pojazdy zatrzymujące się w pobliżu miej- znalezienia zwłok. Niestety, nie można było znaleźć żadnego nktu zaczepienia. Morderca pozostawał nieuchwytny, a więc - bardziej groźny i niebezpieczny, gdyż w każdej chwili mógł okonać kolejnego lub kolejnych zabójstw.

Opinia publiczna — a było to w tym przypadku uzasadnio- — ostro potępiła działania milicji, zarzucając jej opieszałość.

niefachowość, brak operatywności, a więc obarczając ją wszystkimi grzechami głównymi. Dopóki, argumentowano, morderca nie jest za kratkami, ich dzieci nie są bezpieczne.

Przez sześć dni (od daty 5 sierpnia do 11 sierpnia 1988 r.) Piotrków Trybunalski żył pod presją strachu, a milicjanci do słownie padali z nóg, gdyż pogotowie trwało dzień i noc.

Wskazówka co do osoby mordercy zjawiła się nagle i okazała się ową kropką nad „i”, która położyła kres bezprzykładowemu wysiłkowi organów ścigania. Oto bowiem, kiedy znaleziono zwłoki trójki chłopców, pewien chorąży z komisariatu MO w Sulejowie przypomniał sobie, że przecież jakiś rok temu w Przygłowie-Włodzimierzowie został zatrzymany młody mężczyzna, który dopuszczał się czynów lubieżnych wobec nieletnich chłopców. Podejrzany był Mariusz Trynkiewicz, urodzony 10 kwietnia 1962 roku, zamieszkały w Piotrkowie Trybunalskim. Chorąży przypomina, że 30 stycznia 1987 roku Mariusz Trynkiewicz był zatrzymany na „gorącym uczynku”, to jest w momencie, gdy uprowadził nieletniego chłopca, założywszy mu uprzednio worek foliowy na głowę i skrępowawszy sznurami ręce. Dochodzenie w tej sprawie prowadziła wówczas Prokuratura Wojskowa, jako że Mariusz Trynkiewicz odbywał wtedy służbę wojskową. Sądził go Sąd Garnizonowy w Łodzi i skazał na jeden rok więzienia, zawieszając wykonanie kary na okres dwóch lat, a także orzekł zakaz wykonywania zawodu nauczyciela w ciągu jednego roku.

Ta informacja była bezcenna.

PIERWSZE PRZESŁUCHANIE

Mariusza Trynkiewicza zatrzymano w jego mieszkaniu 11 sierpnia 1988 roku. W mieszkaniu był także kolega Trynkiewicza, którego również zabrano na komendę. Pierwsze przesłuchanie odbyło się tegoż dnia o godzinie piętnastej piętnaście. Na

pytanie, czy przyznaje się do tego, że w dniach pomiędzy 29 listopada, a 1 sierpnia 1988 roku pozbawił życia Tomasza Łojka, Krzysztofa Kaczmarka i Artura Kawczyńskiego, zadając im cioty nożem, a następnie wywiózł ich ciała do lasu i podpalił, Mariusz Trynkiewicz odpowiada:

— Przyznaję się do popełnienia zarzucanego mi czynu.

Przesłuchanie trwa parę godzin. Zarówno milicjanci, jak i prokurator zdają sobie sprawę z tego, że zatrzymanie mordercy nie oznacza zakończenia dochodzenia. Od początku bowiem pojawiają się znaki zapytania.

— Proszę powiedzieć, co wydarzyło się w piątek 29 lipca 1988 roku.

Zaczyna się opowieść, jakiej nie wymyśliłby autor powieści kryminalnych. Mariusz Trynkiewicz opowiada spokojnie, beznamiętnie, jakby relacjonował zdarzenie dotyczące pospolitych zynności domowych.

Wstał rano, była chyba siódma lub trochę później. Zjadł iadanie i pojechał na Bugaj, bo tego dnia była piękna, słonecznypogoda. Wybrał się swoją jawą 350. Jechał ulicami Garbarą, Nowotki, Broniewskiego do Wierzejskiej i na Bugaj. Mniej ięcej na wysokości środka jeziora zatrzymał się, przy białej rierce postawił motocykl, a sam siadł na nasypie. Która była dżina? Przypomina sobie, że pierwsza po południu lub parę inut później. Siedział długo i obserwował kąpiących się chłopców. Zawsze lubił patrzeć na chłopców, to go uspokajało, rozładowywało. W pewnym momencie jego uwagę zwróciło trzech chłopców chodzących wzdłuż brzegu. Widział, jak podeszli do siedzącego wędkarza i o czymś z nim rozmawiali. Mariusz Trynkiewicz zapragnął ich zatrzymać, porozmawiać z nimi, po prostu być z nimi. Chłopcy sami podeszli do motocykla.

— Podoba się wam? — zapytał.

— Fajny. Ile wyciąga?

— Dokładnie nie wiem, pewnie ponad setkę. — Czuł koczność zatrzymania ich i bycia z nimi. To w nim narastało winowo, nie mógł się od tej myśli uwolnić.

— Mam rometa — powiedział Krzysztof. — Może kiedyś...

- A ja mam w domu rybki — pochwalił się Artur.
- Ja także hoduję rybki — powiedział Mariusz Trynkiewicz.
- Mam aż trzy akwaria. Czym karmisz swoje?
- Przeważnie rozwielitkami.
- Bardzo dobrze, tylko należy je dokładnie wysuszyć, wtedy mogą dłużej leżeć. Jeśli chcecie, mogę wam pokazać swoją hodowlę.
- Musimy już wracać — powiedział Krzysztof. — Może innym razem.
- Mariusz Trynkiewicz zaniepokoił się, może nawet się przestraszył, że chłopcy za moment odejdą, a on zostanie sam. Za wszelką cenę musi ich zatrzymać. Za wszelką cenę.
- Jestem nauczycielem — powiedział — więc nie musicie się niczego obawiać.
- My się nie boimy, ale trzeba wracać na obiad.
- • Jeśli pójdziecie do mnie, to coś wam dam, ale to niespodzianka. Jestem także instruktorem LOK, prowadzę sekcję strzelecką, więc gdybyście chcieli postrzelać, to możemy to zrobić.
- Z czego możemy postrzelać?
- Tymczasem z wiatrówki. Potem, kiedy j^{^*}. opanujecie obchodzenie się z bronią, to z kbks.
- Serio?
- Jak najbardziej.
- A ta sekcja jest przy szkole? — zainteresował się któryś.
- Właściwie przy LOK, ale w szkole też się zbieramy. Teraz są wakacje, ale w nowym roku szkolnym muszą tak chłopców podszkolić, by wzięli udział w zawodach. Oczywiście najpierw w Piotrkowie, a potem, jeśli któryś będzie na tyle dobry, by się za niego nie wstydzić, to nawet w ogólnopolskich. Więc jak?
- Czemu nie...
- Fajnie byłoby postrzelać.
- Czy pójdziemy na strzelnicę?
- Mariusz Trynkiewicz nie zaprzecza ani też nie potwierdza. Wie, że chłopców zainteresowało to na tyle, że zaczną go nie tylko uważniej słuchać, ale mu zaufają.

— W domu mam płyty i jeśli któryś interesuje się heavy-etaleni, to będzie mógł posłuchać. Idziemy?

Krzysztof Kaczmarek spojrział na zegarek i stwierdził, że i ją jeszcze trochę czasu, więc na jakieś pół godziny mogą aść do pana nauczyciela.

— Dobrze — mówi Mariusz Trynkiewicz, cały czas czujny, ntrolujący sytuację. — Pojadę, a wy idźcie ścieżką do stanu „Polonii” potem skróćcie w kierunku transformatora i już :sto do osiedla. Tam będę na was czekać.

Czy już wówczas zrodził się w nim zamiar zamordowania łopców? Raz mówi, że nie, że nie odczuwał takiej potrzeby i nie dopuszczał możliwości zabicia któregoś z nich. inak w następnych dniach, podczas kolejnych przesłuchań, zyznaje się, że zakładał, iż jeśli przyjdą do niego, do jego isszkania, to ich zabije.

Nad Bugajem, owego piątku, pożegnali się około drugiej po ludniu. Mariusz Trynkiewicz pojechał okrężną drogą, a chłop- - poszli na skróty. Nie dało się ustalić, czy czekał na nich mieszkaniu, czy też spotkał ich obok stadionu. Twierdził, że jego pamięci nie zachowały się tego typu szczegóły — jak zachował się wygląd chłopców, ich twarze, ich imiona. Byli prostu chłopcami, do których zawsze lgnął, chciał mieć obok :/nie, nigdy się z nimi nie rozstawać.

Była godzina trzecia, kiedy znaleźli się w mieszkaniu. Ma- sz Trynkiewicz twierdzi, że chłopcy byli swobodni, rozluźnie- . czuli się dobrze. Pokazał im rybki, klaser ze znaczkami, swo- rysunki, oglądali papużki i słuchali muzyki z płyt.

— Zrobię wam herbaty — zaproponował.

— Nie, dziękujemy.

— Wypijcie herbatę i zjecie ciastka. Nic innego nie mam.

— Naprawdę dziękujemy. W domu będzie obiad, a jak się :~J nie zje, zaraz są pretensje.

— A to widzieliście? — Mariusz Trynkiewicz sięgnął po ładki płyt własnoręcznie przez niego namalowane. Bardzo lu- :.ł to robić, uważając, że grafika stosowana przez „Pronit” czy

„Polskie Nagrania" Jest bezbarwna, mdła, odstrasżająca. — I co powiecie?

Chłopcy chwilę przyglądali się, podawali okładki jeden drugiemu.

— Śmiało, nie pogniewam się.

— Bo ja wiem? — mówi Krzyś. — Tak też ładnie.

— Widać, że nie znacie się na kompozycji. Kolor musi oddawać w jakimś sensie zapis muzyczny. Dlatego poprawiam.

Ale chłopców to nie bardzo interesowało, woleli oglądać Masery ze znaczkami lub stać przed klatką z papużkami.

— Mieliśmy strzelać — przypomniał Krzyś.

— Zdążymy — odpowiedział Mariusz Trynkiewicz. — Jeszcze czas.

— Proszę nam pokazać wiatrówkę — powiedział Tomek.

— Nie mam jej tu, jest w piwnicy.

— Ma pan jedną?

— Wystarczy jedna. Będziecie strzelać po kolei. Naprawdę nie chcecie herbaty?

— Ja nie — powiedział Krzysztof.

— Ja też nie.

— I ja nie.

W pewnym momencie Mariusz Trynkiewicz poczuł w sobie niepokój, wewnętrzne napięcie, które narastało niczym wzbierająca fala. Owładnęła nim jedna maniakalna myśl: a co będzie, jeśli chłopcy po wyjściu z jego mieszkania opowiedzą w domu, gdzie byli? Przecież on już siedział za czyny lubieżne na nieletnich, za ich przetrzymywanie w domku letniskowym. Wszystko tylko nie to!

Chłopcy nadal bawili się świetnie. Siadali na fotelu, na tapczanie, w końcu cała trójka usadowiła się na dwóch krzeselkach i któryś powiedział, że na dziś dosyć, muszą iść do domów.

W tym miejscu Mariusz Trynkiewicz zasłania się niepamięcią. Twierdzi, że naszło go zamroczenie, amok, trans. Jak przez mgłę widzi chłopców leżących na podłodze i krew ciekącą z ich ust. Widzi siebie zakładającego im na głowy worki foliowe, owijającego ich ciała szmatami. Pamięta też, że poszedł do łazienki

i długo wymiotował. Ciągłe był w otępieniu: kręcił się po pokoju, wyciągał prześcieradła, ręczniki, owijał nimi ciała. Wszystko to działo się jakby poza nim, w innych wymiarach, w innej przestrzeni, w innym czasie. Był, a jednocześnie nie był uczestnikiem zdarzeń. Widział siebie, a przecież miał świadomość, że widzi kogoś zupełnie innego, kogoś, kto jest jednocześnie kimś obcym i jest nim, Mariuszem Trynkiewiczem.

Podczas kolejnych przesłuchań zaczyna jednak przypominać sobie coraz więcej szczegółów. Przede wszystkim nóż, myśliwski nóż o dwudziestodwucentymetrowym ostrzu, które z jednej strony miało piłę. Zawsze leżał na biurku i służył do przecinania papieru. Tym nożem zadawał ciosy z góry. Bił w siedzących na krzesłach, nie wybierał miejsca, nie myślał nad tym. A kiedy jeden z chłopców zaczął się osuwać na podłogę, to go nawet podtrzymał, gdyż nie chciał, by głową uderzył o parkiet. Czy bronili się? Nie pamięta. Czy wzywali pomocy? Także nie pamięta. Właściwie nie ma wyraźnych obrazów, które by się utrwały w jego świadomości. Wszystko to są jakieś fragmenty, strzępy konturów, zarysów, oderwane czynności. Sąsiedzi przesłuchiwa- ni przez prowadzących śledztwo niewiele mogli powiedzieć o tam-ym tragicznym dniu lipcowym. Owszem, ktoś tam słyszał ja- eś krzyki, coś jakby: „Ludzie, ratujcie!” czy: „Ratunku”, „ale e wzbudziło to niczyjego zainteresowania”.

Była godzina piąta po południu, kiedy Mariusz Trynkiewicz mknął mieszkanie na klucz i udał się na obiad do rodziców ieszających w bloku obok. Tam stwierdził, że pod paznackia- i ma krew, i wówczas dotarł do niego fakt, że przecież zrobił ś bardzo złego. Nie mówi, że „zrobił coś potwornego” czy „prze- rażającego”, ale właśnie „coś bardzo złego”. Utrzymuje, że nadal nie wiedział, „co” zrobił, ale jego świadomość zaczęła się powoli odblokowywać.

Obiad mu nie smakuje, więc zabiera od rodziców produkty żywnościowe i wraca, do siebie.

Kiedy otworzył drzwi, zrozumiał wszystko, pojął, że popeł- nił morderstwo. Ciała chłopców nadal leżały obok krzesel. Ma- riusz Trynkiewicz znajduje lek o nazwie sinequanum oraz ele-

nium, połyka parę drażetek i siada w fotelu. Nie wie, czy spał, czy też przebywał w otępieniu. Kiedy się ocknął, było już ciemno. Zerwał się w pośpiechu i zaczął pakować zwłoki. Pakował, w co się dało: w prześcieradła, ręczniki, zasłony. Starał się, by kształtem przypominały raczej tłumoki lub' worki podróżne. Potem pojedynczo znosił ciała do piwnicy. Trwało to parę godzin, gdyż po każdym zejściu długo odpoczywał. Kiedy zniósł ostatniego z chłopców, spostrzegł, że w pokoju jest krew: w miejscu gdzie leżały zwłoki, a także sporo na drzwiach. Przygotował więc wodę i szmatę i zaczął zmywać. Obmył — bardzo starannie — nóż. Po pracy ponownie zażył lekarstwo i usadowiwszy się w fotelu zasnął. Obudził się około godziny trzeciej w nocy.

Tu w zeznaniach Mariusza Trynkiewicza zaczęły się pojawiać nieścisłości. Początkowo twierdził, że jeszcze tej samej nocy wyprowadził z garażu ojca samochód marki „Wartburg”, przeniósł do niego ciała, zawiózł do lasu i tam je podpalił. Wrócił do domu o szóstej rano i od razu położył się spać. Po przebudzeniu się usunął pozostałości krwi w mieszkaniu, a na podłodze w piwnicy rozlał żółtą farbę. Wkrótce jednak te zeznania odwołał, gdyż mocno kolidowały z tym, co stwierdzono w Zakładzie Medycyny Sądowej. Lekarze bowiem orzekli, że śmierć chłopców nastąpiła 29 lipca 1988 roku (do czego się Mariusz Trynkiewicz przyznał), natomiast nie może być prawdą, że ich ciała cały czas leżały w lesie i podpalono je 4 sierpnia 1988 roku.

Mariusz Trynkiewicz raz jeszcze postanawia opowiedzieć o przebiegu samego zabójstwa i o tym, co zdarzyło się potem. Prawdą jest — mówi — że w momencie popełniania morderstwa działał w jakimś otępieniu, że cały dygotał, że nie zastanawiał się nad tym, co czyni. Prawdą też jest, że nie dopuścił się wobec chłopców żadnych czynów lubieżnych. Nieprawdą jest natomiast, że tej samej nocy wywiózł zwłoki do lasu i je podpalił. Otóż po północy zaniósł ciała do piwnicy, a drzwi (zbite z pionowych desek, z prześwitem) zasłonił lustrem. Przez kolejne dni rozlewał tam lizol, bo zaczynało cuchnąć i sąsiedzi mogliby coś podejrzewać.

Dopiero w nocy z 3 na 4 sierpnia postanawia oczyścić piwni-

ę. Z garażu ojca wyprowadza wartburga, bierze wojskową pałatkę oraz butelkę z benzyną. Nie podjeżdża pod klatkę schodową, ale zatrzymuje się na ulicy Garbarskiej. Schodzi do piwnicy, kolejno zawija zwłoki w pałatkę i zanoszą do samochodu, rwa to godzinę. Potem powoli (nie ma prawa jazdy) jedzie ' kierunku miejscowości Koło z zamiarem porzucenia gdzieś włok.

Jest spokojny i opanowany. W pewnym momencie w światłach reflektora dostrzega leśny dukt, więc zjeżdża, ale nie za daleko. Nie wyłącza silnika. Zwłoki chłopców układa w trójkąt, blewa benzyną i podpala. Ogień — mówi — ma moc oczyszczającą, jest czymś, co na zawsze niszczy materię, nawet materię umięci. Przez ogień pragnął wymazać ze swojej świadomości czyn, którego się dopuścił. Nie, nie zastanawiał się nad samym zabójstwem, niczego nie żałował, ale po jego spełnieniu odczuł wyraźne uspokojenie. Czy obawiał się, że zostanie zatrzymany, że w końcu wyjdzie na jaw zbrodnia? Nie, nie zastanawiał się. Po prostu nie dopuszczał do siebie myśli, że jest winien.

Kiedy strzeliły w górę płomienie, spokojnie zasiadł za kierownicą i pojechał do domu. Pałatkę wyrzucił do pojemnika na śmieci stojącego przed blokiem, samochód wstawił do garażu. Wrócił do swojego mieszkania i od razu położył się spać. Spał mocno bez marzeń i widzeń sennych. A kiedy się obudził, był już dzień, późne przedpołudnie. Nazajutrz pojechał do rodziców do Włodzimierzowa, by odpocząć i zregenerować nadwątłone siły.

JESZCZE JEDNO MORDERSTWO

Prowadzący przesłuchanie Mariusza Trynkiewicza zadał pytanie;

— • Czy w dniu 4 lipca 1988 roku zamordował podejrzany trzynastoletniego Wojciecha Pryczka?

— Pytanie zrozumiałem i odpowiadam: ja zabiłem Wojciecha Pryczka.

W ten sposób zamknięte zostało żmudne dochodzenie, prowadzone przez prokuraturę w sprawie nieletniego Wojciecha Pryczka, który wyszedł z domu 4 lipca, by pojechać na Bugaj i tam popływać. Pojechał i już nie wrócił. Przed wyjściem z domu poprosił matkę o pozwolenie. Zawsze tak robił i pani Zofia z reguły zezwalała, zapowiadając, że ma wrócić do domu na określoną godzinę. Jeździł i wracał, bo to był posłuszny chłopiec.

— Wrócę na pewno — zapewnił matkę.

— Ja będę na działce, mogę tam zanocować, więc kolację zjesz z Andrzejem.

— • Oj, mamó, tłumaczysz mi jak dziecku.

— Bo jeszcze jesteś dzieckiem. No, idź już, idź.

Wojtek wyszedł.

Minął dzień, minęła noc. Chłopiec jednak nie zjawił się w domu. Nazajutrz Zofia Pryczek zgłosiła zaginięcie syna na milicji. Zanim jednak rozpoczęto rutynowe czynności, nadeszła od Wojtka kartka pocztowa. Z jednej strony była panorama Piotrkowa Trybunalskiego, na odwrocie zaś ręką Wojtka napisany tekst: „Kochana mamusiu, jestem w bezpiecznym miejscu z ogłoszenia i zarabiam trochę pieniędzy i niedługo wrócę. Wojtek”.

A więc wszystko w porządku, choć to nie było podobne do Wojtka, nie pasowało do niego. Nie pojechał na kolonie i wakacje miał spędzić w mieście. Dotąd jakoś nie wykazywał chęci do najmowania się do pracy i samowolnie nie uciekał z domu. Zofia Pryczek sercem matki wyczuwała, że za tą widokówką coś się kryje. Tylko co? Młodzieńczy wygłup? Chęć zaimponowania? Dowód samodzielności? A może coś wręcz tragicznego, czego nie da się przewidzieć? Widokówkę zaniósła na milicję, domagając się, by nie przerywano poszukiwań. Tam jednak — tak jej się przynajmniej zdawało — po przeczytaniu kartki jakby uznali sprawę za zakończoną. Skoro żyje i pracuje, to wróci. Więc o co tyle krzyku?

Ale oto nadchodzi anonim. Koperta białego koloru, a na niej

adres napisany ręką Wojtka. W kopercie kosmyk jego włosów i kartka, na której zostały naklejone litery wycięte z gazety, to jej treść (w oryginalnej pisowni): „Syn zdecydował się na-żeć do naszej seKTy szczęście wróci Do Pio... A domU W sieRP-NIU NIE ZawiadaMIAC MO WSW! ZLorzyć 50 tYS złotych 0.20 RANO 17.00 do 12 lipca 1988 roku POD KAMIeniem (znak krzyża) W SZAREJ KOPERCIE Wichura — Strzałka, zekać Spokojnie do 15.8.1988 roku Jeżeli MO ZAWIADOmione DWOłać — grzybek za MOStkiem OBOK Strzelnicy Wierzej^r PIOTRKOWIE”. Pod tym tekstem jakiś podpis i odwrócony "zyż, symbol satanistów.

Zatem sprawa nieco się skomplikowała. Należało rozpatrzyć wa warianty: pierwszy — Wojtek istotnie przystał do jakiejś grupy i teraz żąda od matki pieniędzy, drugi — Wojtek został zmuszony do napisania adresu, a sam jest przetrzymywany przez nieznanymi kidnaperów. Zofia Pryczek pędzi na milicję. Tam radzą: złożyć okup. Zrobi się zasadzkę i szantażysta wpadnie.

Pakunek z pięćdziesięcioma tysiącami zostaje, zgodnie z poleceniem anonimowego autora, złożony w wyznaczonym miejscu i o oznaczonym czasie. Zasadzka starannie przygotowana. Ale mijały dni i nikt po pieniądze się nie zjawiał. Nie było także więcej listów — anonimów. Nie było także Wojtka.

Minał lipiec i oto w piątek, dwudziestego dziewiątego, znad ugaju znikają trzech chłopcy. A po tygodniu ich zwłoki znajduje zrybiarz Edward S. Nikt jednak nie kojarzy zaginięcia Wojtka yczka z tymi trzema. Mariusz Trynkiewicz jest przesłuchiwany nowa i za każdym razem jego opowieść wzbogaca się o jakiś szczegół. Ale te szczegóły dotyczą jego przeszłości, jego stosunku do kolegów, do dziewczyn. Są niby kamyki, z których potem ułoży się skomplikowana, zagmatwana psychika mordercy, ariusz Trynkiewicz jest jednak czujny, ani słowem nie wspomina o swej pierwszej zbrodni.

Dopiero drugiego września przesłuchujący zadaje pytanie:

— Czy w dniu czwartego lipca 1988 roku zamordował podejrzany trzynastoletniego Wojciecha Pryczka?

Mariusz Trynkiewicz odpowiada ze spokojem:

— Tak, zabiłem go.

Zeznanie jest o tyle rewelacyjne, że przecież nie ma żadnych •dowodów, nie ma nawet punktu zaczepienia. Dosłownie nic. I nagle na zadane ze spokojem pytanie pada równie spokojna •odpowiedź twierdząca.

Znowu ruszają milicyjne nisy w stronę szosy łączącej Piotrków Trybunalski z miejscowością Koło. W jednej z nich jedzie Mariusz Trynkiewicz.

— Niech podejrzany prowadzi. Proszę pokazać, jakimi ulicami wioził zwłoki Wojciecha Pryczka.

— Dobrze — mówi Mariusz Trynkiewicz. — • Proszę jechać 22 lipca, Wojska Polskiego, Wolborską, Wierzeje, potem przez most przed Strzelnicą, przez Osiedle Wierzeje i dalej prosto w las...

Jest to ta sama droga, którą później wywiózł trzech zamordowanych chłopców. Po obu jej stronach rośnie sześćdziesięcioletni las mieszany: brzozy, sosny, dęby. Oto mijają ów dukt, w który wjechał w nocy z trzeciego na czwartego sierpnia. Mariusz Trynkiewicz nie zwraca jednak na niego uwagi. Pilnie wpatruje się w drogę.

— Proszę zwolnić — mówi i pokazuje na słupek kilometrowy oznaczony cyfrą 6. — Zaraz będzie szkółka leśna, a za nią dróżka.

Samochody powoli zjeżdżają z asfaltu. Owa dróżka, właściwie leśna droga, kluczy pomiędzy starym lasem rosnącym z prawej strony i młodnikiem z lewej.

Po przejechaniu stu metrów Mariusz Trynkiewicz wskazuje przewrócone drzewo.

— • To tu — mówi.

Samochody zatrzymują się. Panuje skupienie. Nawet psy zachowują się spokojnie.

Mariusz Trynkiewicz robi zdecydowanie kilkanaście kroków i zatrzymuje się.

— • Tu go porzuciłem.

Wśród leśnego poszycia jest wgłębienie, właściwie dołek głę-

boki na pół metra, długi na osiemdziesiąt centymetrów i szeroki na czterdzieści. Na pierwszy rzut oka widać w nim jedynie jakieś szmaty. Dopiero gdy je poruszono, zaczęły się z nich wy-
-pywać kości.

W tym momencie Mariusz Trynkiewicz zbladł, padł na ziemię i dostał drgawek.

Szczątki, a właściwie kości Wojtka Pryczka, powędrowały do Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Łodzi. Zadanie nie było łatwe: matka nie potrafiła zidentyfikować zwłok syna, nie potrafiła na podstawie szerniałej czaszki autorytatywnie stwierdzić, że jest to czaszka jej Wojtka. Do pracy zabrali się antropolodzy, zaczęto badać kości i porównywać je z fotografiami Wojtka. Wkrótce nikt nie miał wątpliwości: w dołku, w lesie pomiędzy Piotrkowem Trybunalskim a miejscowością Koło, przez dwa miesiące leżały zwłoki zamordowanego Wojciecha Pryczka.

Kiedy Mariusz Trynkiewicz powrócił do równowagi, rozpoczęło się kolejne przesłuchanie.

— Czy podejrzany pamięta, kiedy poznał Wojciecha Pryczka?*

— Pamiętam. Było to w poniedziałek 4 lipca 1988 roku. Dzień był ładny, świeciło słońce.

— Która była godzina?

— Myślę, że pierwsza lub druga po południu.

— Podejrzany był na Bugaju?

— Tak, ale nie kąpałem się.

— Przyjechał podejrzany na motocyklu?

— Nie, **pieszo**.

— Jak doszło do zawarcia znajomości?

— Chłopiec siedział na brzegu, a ja się przysiadłem.

— O czym rozmawialiście?

— Na różne tematy, dokładnie nie pamiętam, ale w pewnym momencie powiedziałem, że mogą go przyjąć do sekcji strzeżonej.

— Zgodził się?

— Od razu. Powiedziałem, że mam w domu wiatrówkę, więc śli chce, może z niej postrzelać.

- Czy od razu poszliście do mieszkania podejrzanego?
- Byliśmy u mnie około czwartej, szliśmy na skróty, obok stadionu „Polonii”. Potem, już w domu, Wojtek strzelał i cieszył się.
- A jak było z kartką pocztową do jego matki?
- Wojtkowi spodobało się u mnie, więc powiedziałem, żeby napisał do matki, że prędko nie wróci. Napisał także adres w zeszycie, który to adres później wyciąłem i nakleiłem na kopertę z listem-anonimem.
- Co było dalej?
- Kiedy?
- Kiedy Wojciech Pryczak napisał list.
- Poprosiłem, aby się rozebrał do naga.
- W jakim celu?
- Patrzenie na nagich chłopców było formą rozładowywania emocji, które we mnie narastały.
- Rozebrał się?
- Tak.
- Czy podejrzany dokonał wówczas jakiś czynów lubieżnych?
- Nie.
- Proszę mówić. Co było potem?
- Po kolacji Wojtek oglądał w telewizji poniedziałkowy teatr. A ja poczułem narastające we mnie zdenerwowanie i niepokój. To było bardzo silne, tak silne, że nie potrafiłem tego opanować. W pewnym momencie schwyciłem go za szyję i zacisnąłem na niej swoje dłonie. Nie wiem, jak to długo trwało. Potem wepchnąłem mu do ust gąbkę i nożyczkami odciąłem kosmyk włosów.
- Po co?
- Kiedy to robiłem, nie wiedziałem, po co mi są potrzebne te włosy.
- Co z nimi podejrzany zrobił?
- Kiedy wysyłałem anonim, włożyłem je do koperty.
- Eksperci stwierdzili, że gąbka została włożona do ust Pryczka za jego życia...

\ *

— Dziś tego nie potrafię wyjaśnić: może było tak, że wcisnąłem mu gąbkę do ust, żeby nie krzyczał, a może już po uduszeniu wytarłem nią ślinę z otwartych ust, a potem włożyłem ją do środka. Naprawdę nie pamiętam.

— Proszę opowiedzieć, co było dalej, już po uduszeniu chłopca.

Mariusz Trynkiewicz z drobiazgową dokładnością mówi o tym, jak pakował zwłoki w koc koloru zielonego w kratę, jak obwiązał je sznurkiem, a potem włożył do pudła. Początkowo — mówi — chciał nagie ciało podrzucić obok kościoła, ale po przemyśleniu zrezygnował z tego zamiaru. Około drugiej w nocy wyprowadził z garażu motocykl, zdjął z niego siedzenie, wyniósł pudło i przymocował do ramy motocykla pasami. By nie czynić hałasu, motocykl pchał aż do ulicy Grabarskiej. Potem zapuścił silnik i pojechał tymi ulicami, które wskazał podczas wizji lokalnej. Kiedy znalazł się w lesie, odszukał jakiś dołek, wrzucił do niego zwłoki, a pudło wyrzucił w dużym lesie. Po tym wszystkim spokojnie wrócił do domu.

— Czy podejrzany nie miał wyrzutów sumienia?

— Ja nigdy nie dopuściłem do swojej świadomości faktu, że kogoś zamordowałem. Uznałem, że nic się nie stało, nie było żadnego zdarzenia. Dlatego nigdy nie pojechałem w to miejsce, gdzie wyrzuciłem zwłoki, gdyż bałem się, że ich widok może mi uświadomić, iż stało się coś złego, że popełniłem zbrodnię.

— Mimo to podejrzany zaprosił do siebie trzech chłopców zakładając, że jeśli przyjdą, to ich zamorduje.

— Zapraszając ową trójkę miałem czyste sumienie, nie obciążone żadnym zabójstwem. Proszę zrozumieć, ja Pryczka wyrzuciłem nie tylko ze swojej pamięci, ale i ze swego sumienia.

— Dlaczego podejrzany nie spalił zwłok Wojciecha Pryczka?

— Nie wiem. Pragnę zaznaczyć, że paląc tamtych trzech nie oddawałem czci żadnemu bóstwu czy szatanowi. Ogień to symbol oczyszczania.

— Czy mam rozumieć, że podejrzany, gdyby nie został aresztowany, planowałby dalsze morderstwa?

— Nie planowałem.

"- — Skoro po każdym zabójstwie oczyszczał swoje sumienie, więc zawsze pozostawał niewinny. Przynajmniej we własnym przekonaniu.

— Ja nigdy nie planowałem morderstwa: ani wówczas, ani też w przyszłości. Faktem jest natomiast, iż planowałem popełnić samobójstwo.

— W jaki sposób? •§

— Pozbawienie się życia miałem zamiar dokonać popi^eez powieszenie się.

Wojtuś Pryczek, w przeciwieństwie do tamtej trójki chłopców, miał dwa pogrzeby: pierwszy 5 września 1988 roku, kiedy zostały pochowane jego szczątki — ale bez czaszki, gdyż zatrzymano ją do badań superprojekcji. Dopiero po dwunastu dniach zwrócono ją matce i wówczas odbył się ponowny pochówek.

THE SATAN

Dziś nie da się ustalić, kto pierwszy użył tego określenia, łącząc je ze sprawą czterech zamordowanych chłopców. Faktem jest, że od momentu zatrzymania Mariusza Trynkiewicza szerzyła się wieść, że był czcicielem Szatana, że należał do sekty satanistów i że owe cztery zabójstwa są niczym innym jak mordem rytualnym. Strach spadł na miasto. Spokojny dotąd gród trybunalski ogarnęła panika. Pogłoski o ludziach noszących na piersiach wizerunek odwróconego krzyża rozlały się niczym wody wezbranej rzeki i dotarły do okolicznych wiosek. Wyznawcy Szatana wybrali Ziemię Piotrkowską na swoją siedzibę. Głoszą oni, że królestwo ich władcy jest bliskie, że zstąpi on w pełnej chwale, a wówczas Ziemię ogarnie ogień i ulice zamienią się w potoki krwi. Bo — jak głoszą ulotki — skoro w ciągu dwu tysięcy lat hegemonii nauk Chrystusa ludzkość nadal grzęźnie w barbarzyństwie, czas, aby władzę przejął Upadły Anioł.

Ulotki pojawiały się wszędzie: na klatkach schodowych, na

Włupach ogłoszeniowych, w autobusach, w skrzynkach na listy, właściwie wszyscy o nich zaczęli mówić, lecz jakoś nikt ich i własne oczy nie oglądał ani nie czytał. Na wszelki wypadek iieci zamknięto w domach i miasto nagle dziwnie opustoszało, ez dzieci bawiących się na chodnikach, biegających wśród blo-
•y\w mieszkalnych, wypełniających parki i skwery — stało się are, smutne i puste. Do szkoły i ze szkoły zaczęły teraz cho-
zić w asyście rodziców i opiekunów.

Satanistów widzi się wszędzie: oto emerytka wracając rano e sklepu zderzyła się niemal z brodaczem w czarnym płaszczu tak się wystraszyła, że upuściła butelkę z mlekiem na chod-
nik; oto dwaj robotnicy z „Piomy” po pracy na drugiej zmianie wypili parę wódek w przygodnej melinie, a potem wracali do emu. I stało się coś niezwykłego i niewytłumaczalnego: przed ościołem siedział czarny kot z pałającymi oczami, który prze-
mówił do nich ludzkim głosem! A przecież nie była to noc wigilijna! Mężczyźni tak się wystraszyli, że przez resztę nocy krą-
żyli po mieście, nie mogąc trafić do swoich mieszkań. Ktoś mo-
że zapytać, co to było. Właśnie, co? Kiedy zwrócono się z tym do jednego z księży, ten poradził odmawianie różańca i regular-
ne uczęszczanie na msze. A w ogóle — mówił ksiądz. — Pa-
sterz nigdy nie opuści swoich owieczek. Ksiądz wie swoje, a lu-
dzie wiedzą co innego. Wystarczy w nocy wyjść na łąki za mia-
sto (tylko kto na to się odważy!), a widać jak na dłoni ogniska ułożone w trójkąty. Kto je pali? Kto po nocach odprawia swoje
sabaty, swoje czarne msze, do których jest potrzebna krew nie-
winnych dzieci?

Stanisław Kaczmarek, ojciec zamordowanego Krzysztofa, głą-
boko wierzy w satanistów. No bo jak wytłumaczyć fakt, że syn
zginął 29 lipca, a 29 sierpnia przepadł jego pies? Był na podwó-
rzu, uwiązany przy budzie i nagle przepadł. Ktoś w nocy go
uprowadził, odcinając obrozę w charakterystyczny sposób. Po-
nadto w przeddzień uprowadzenia psa obok szwalni „Nasza
Przyszłość” na ulicy Wojska Polskiego stało dwóch młodych lu-
dzi, mniej więcej dwudziestoletnich, ubranych w skórzane
kurtki, z zawieszonymi na piersi odwróconymi krzyżami. Stali

dość długo, w końcu podeszli do portiera i zaczęli go wypytywać o rodziców Krzysztofa Kaczmarka: czy są wierzący, gdzie mieszkają, czy bardzo opłakują stratę syna. Kiedy portier zawiadomił o tym Stanisława Kaczmarka — i zanim ten dotarł w pobliże bramy — młodzieńcy odeszli. Innego razu — mówi Stanisław Kaczmarek — stał taki jeden na Źródłowej: czarny jakiś, z różańcem do ziemi. Więc ludzie zatelefonowali na milicję. Przyjechał radiowóz, ale facet znikł. Podobnego osobnika widziano także na Porzeczkowej; mężczyźni nawet usiłowali go schwytać, ale niestety, uciekł. i

Rodzice Artura Kawczyńskiego zwierzili się Stanisławowi Kaczmarkowi, że przez Wolę Kamocką przejeżdżał czarny fiat, w którym było czterech mężczyzn. Zaczepiali oni ludzi we wsi i wypytywali o rodziców Artura: czym się zajmują, jak żyją, czy bardzo są zmartwieni.

Cmentarz w Woli Kamockiej jest trochę z boku, wśród pól, jakieś sto pięćdziesiąt metrów od asfaltowej drogi, wiodącej w kierunku Piotrkowa Trybunalskiego. Jest to mały, wiejski cmentarz, otoczony betonowym murem. Pusto, nostalgicznie. Grób Artura Kawczyńskiego leży na samym końcu, mały, ogrodzony drewnianymi palikami, cały w kwiatach. Ale i tu docierają tajemniczy osobnicy: ktoś przekłada wieńce, układa je inaczej, niż czynią to rodzice chłopca. Kto?

Podobnie jest na cmentarzu w Piotrkowie. Tu też zamordowani chłopcy spoczywają w pobliżu muru. Krzyś Kaczmarek i Tomek Łojek leżą obok siebie, Wojtek Pryczek jakieś dziesięć metrów od nich (nasuwa się skojarzenie: tam, w lesie, leżeli w różnych miejscach, dzieliło ich wówczas osiemset metrów lasu, teraz są już bliżej połączeni za sprawą zabójcy). Niestety, ktoś jednak zakłóca ich wieczny spokój: nieznana ręka przewraca wazon z kwiatami, niszczy ogrodzenie mogił. Na piasku są ślady opon motocyklowych. Kto to robi? W jakim celu?

Przed czteropiętrowym budynkiem na ulicy D., gdzie mieszkał Mariusz Trynkiewicz, ludzie mówią dużo i chętnie. Dla nich był to prawdziwy szok, kiedy dowiedzieli się, że tajemniczy morderca był jednym z lokatorów ich domu, mieszkał na pierw-

szym piętrze, że za ścianami swojego mieszkania dokonywał zabójstw, a potem przez tydzień trzymał zwłoki w piwnicy. A oni żyli, chodzili do piwnicy po słoiki z kompotem, po nalewkę, po potrzebne narzędzia. Dopiero teraz ludzie zaczęli słyszeć po nocach krzyki, jęki i wołania. Wydaje im się, że cały budynek wypełnił się dziecięcymi głosami, wzywającymi pomocy. O zmroku nikt już nie wychodzi, nawet na klatkę schodową. A do piwnicy z reguły chodzi się parami. Ludzie wiedzą jeszcze jedno: w mieszkaniu numer 25 nadal zamieszkuje śmierć.

Dziennikarz, który przyjechał tu z Łodzi, stara się czegoś dowiedzieć o Mariuszu Trynkiewiczu. Najbardziej rozmowny i chętny do wyjaśnień jest Wiktor S.

— Bandzior był i tyle. Już dawno w swojej piwnicy pomalował na czarno wszystkie antaby. A potem to tak zlał wszystko lizolem, że nie szło tam wejść. Myśmy nawet mieli złożyć do administracji za to na niego skargę. Mówię panu, dech zatykało. Teraz wiemy, że w ten sposób niwelował odór gnijących ciał tych nieszczęsnych chłopców.

— Co tam jest teraz? — pyta dziennikarz, gdyż każdy szczegół może mieć znaczenie przy pisaniu reportażu.

— Teraz? Piwnica jak była, tak jest. I śmierdzi po dawnemu. W jego mieszkaniu mieszka teraz jego babka, która kiedyś tu mieszkała.

— Razem z nim?

— Jakies dwa lata temu zostawiła to mieszkanie Trynkiewiczowi, a sama przeprowadziła się do syna, to jest do ojca Trynkiewicza. O, to w tym budynku po sąsiedzku. Teraz, kiedy go zabrano, znów tu mieszka.

— Ja bym tam nie mogła — • wtrąca stojąca obok kobieta. — Tam jeszcze pachnie krwią.

— Przesadza pani — przerywa mężczyzna w kraciatej koszuli. — Ale mieszkać, gdzie tyłu zamordował, też chyba nie mógłbym.

— • A ona może — mówi inna kobieta.

— • Jak ją państwo przyjęliście? — interesuje się dziennikarz.

— Normalnie. Niby co staruszka jest winna, no nie?

— Mogła mu nie zostawiać mieszkania, nie miałyby gdzie sprowadzać chłopców — wtrąca młoda matka z dzieckiem na

— Mordowałyby gdzie indziej.

— Też prawda, takiemu to wszystko jedno, byle zabić.

— A rodzice Mariusza Trynkiewicza? — pyta dziennikarz.

•— Jak się zachowują?

— Ja im współczuję — mówi starsza pani, oparta o łaskę,

— Czego im współczuć? Ze wychowali bandziora?

•— Taki się widać już urodził — upiera się starsza pani.

— Co też pani! Przecież ich tu znamy. Ten Mareczek to było ich oczko w głowie: wydmuchany, wychuchany, brakowało mu chyba manny z nieba i ptasiego mleka. A może pani 'wierzy w to, że to sam wywiózł tych chłopców samochodem ojca?

—• Co pani chce przez to powiedzieć?

— To, że stary na pewno wiedział i kto wie, czy mu jeszcze nie pomagał.

—• Już prokurator dowie się wszystkiego. Milicja także nie próżnuje.

—• Naszej milicji także nie-wierzę.

— Stary pan Trynkiewicz to porządny człowiek •— mówi pani z łaską.

— Przepraszam — przerywa dziennikarz. — Interesuje mnie obecne zachowanie rodziców Mariusza Trynkiewicza.

— A niby jak się mają zachowywać? Normalnie. •

•— Starego chyba wyrzucili z oświaty — mówi matka -% dzieckiem. — Tak słyszałam. -

—• Odszedł na emeryturę, a nie wyrzucili. A matkę widzimy, jak chodzi do sklepu. Czasem mówi, że jej syn jest chory i jego nie sądzić trzeba, a leczyć.

— Stryczek go wyleczy — mówi zdecydowanie mężczyzna z jamnikiem na smyczy. — Nie dość, że mordował,' to jeszcze na koszt państwa będzie żyć w szpitalu dla wariatów! Tego by brakowało! • -

— Taki podleczy się, wychodzi na przepustkę, dopada kilku chłopców i znów dźga nożem. . . . -

• *

— Czy przeprowadzono tu wizję lokalną? • — pyta dziennikarz.

— • Nikt nie odważyłby się go tu przywieźć — mówi zdecydowanie pan z jamnikiem.

— Dlaczego?

— Ludzie dokonali by samosądu. *

— Aż tak? — nie wierzy dziennikarz.

— • Proszę pana, kiedy po jego aresztowaniu zjawiła się tu ekipa milicyjna i dokonywała oględzin mieszkania i komórki, to wokoło zebrało się tyle ludzi, jakby to był pochód, pierwszomajowy. Teraz niech pan sobie wyobrazi, że przywożą Trynkiewicza. I tu trzeba milicjantów do jego pilnowania? Stu? Dwustu? Nawet tysiąc. I co? Tłum rzuca się rozwścieczony, zaślepiony, dyszący zemstą. Pytam się, który milicjant będzie chciał strzelić do niewinnego człowieka w obronie mordercy? Nie, tu go nie przywożą, wiedzą, czym się to skończy.

— • Czy to prawda, że Mariusz Trynkiewicz należał do sekty satanistów? — pyta dziennikarz.

— Należał.

— Normalny człowiek nie robiłby takich rzeczy. On był opętany przez diabła.

— Na jakiej podstawie państwo tak twierdzą?

— W jego mieszkaniu na ścianie był odwrócony krzyż w podkowie, to jest właśnie symbol tej sekty.

— Kiedy go aresztowano — zaczyna mówić starszy pan, z wyglądu przypominający nauczyciela na emeryturze — • zaczęły się pojawiać ulotki, a na chodnikach ktoś kredą rysował ten sam znak, jaki wisiał u Trynkiewicza na ścianie. Sam widziałem taką ulotkę, w której grożono, że jeżeli Trynkiewicz nie zostanie zwolniony, to nastanie „krew i zgrzytanie zębów”. Zapamiętałem to stwierdzenie i przytaczam je dosłownie.

— Czy ma ktoś z państwa taką ulotkę? — dopytuje się dziennikarz.

Okazuje się, że nikt nie ma. Owszem, jeszcze wczoraj była, znalazła ją jakaś staruszka, ale oddała dziewczynce, o tej, co wygląda z okna pierwszego piętra.

Dziennikarz idzie na pierwsze piętro, ale dziewczynka mówi, że ulotkę zaniosła na milicję.

— Mówię panu — pani z dzieckiem dotyka ramienia dziennikarza. — Sam nie mógł zabić trzech chłopców. Musiał ktoś pomagać.

— Jak pani sądzi, kto?

— Czasem przychodził do niego jakiś mężczyzna, ale ja myślę że Trynkiewicz całe dni przesypiał, a żył w nocy.

— Wierzy pani w **mord rytualny**?

— Po tym, co się stało, wierzę w najgorsze.

Psychoza strachu niczym zaraza rozprzestrzeniła się po mieście. Wystarczyło, że jakiś podпиты mężczyzna zaczepił na ulicy dziewczynkę, pytając ją o godzinę czy też o jakąś ulicę, a już dopadła go grupa kobiet i zaczęła paznokciami rozdrapywać mu twarz. Po chwili zjawili się mężczyźni. Ciężko pobity człowiek uszedł z życiem.

Tego lata i jesieni w okolicznych lasach wysypały się grzyby. Jednak nikt nie chciał ich zbierać. Teraz za każdym krzakiem, każdym drzewem mógł się czaić morderca. Psychoza strachu ogarnęła także mieszkańców pobliskich wsi. Tamtejsze dzieci nierzadko chodzą do szkoły przez las lub polami. Jak je uchronić przed nożem zboczeńca, przed rękami dusiciela? Szybko, bardzo szybko zawiązały się grupy samoobrony. Uzbrojeni w toporki chłopcy towarzyszą dzieciom. Strach olbrzymieje z dnia na dzień, a w nocy przybiera monstrialne rozmiary.

Najbardziej zagorzałym tropicielem sekty satanistów jest Stanisław Kaczmarek. Widzi ich wszędzie, dostrzega ich działalność. Nie wierzy, kiedy milicjanci i prokurator mówią, że Mariusz Trynkiewicz nigdy nie należał do tej sekty.

— Nikt mnie nie przekona — mówi — że działał sam. Kiedy Edward S. znalazł zwłoki chłopców, były one ułożone na krzyż. A. kiedy zjawił się tam po raz drugi, już z milicjantami, tworzyły trójkąt. Czy to niczego nie oznacza?

Tak więc znaków zapytania przybywa. Rośnie także z dnia na dzień niepokój. Każdy obcy mężczyzna spacerujący w bocznych uliczkach lub wzdłuż zalewu na Bugaju może być wzięty



za satanistę i nim się spostrzeże, zostanie ukamienowany. Zaiste, Szatan zszedł na Ziemię i opętał ludzkie umysły.

Wkrótce ulotki sygnowane wizerunkiem odwróconego krzyża i podkowy pojawiły się w Łasku, Zalewie i w Łodzi. I podobnie jak w Piotrkowie, wszyscy o tym słyszeli, lecz nikt niczego nie widział. W połowie września 1988 roku gruchnęła wieść, że zgodnie z rytuałem satanistycznym w ofierze Upadłemu Aniołowi zostanie złożonych pięćdziesięciu chłopców. Rozdzwoniły się telefony w komisariatach milicji i redakcjach gazet: ludzie chcieli znać prawdę. Byli i tacy, którzy informowali, że na jednym z widzewskich cmentarzy spalono żywcem kota, inny informator donosił o krwawych odciskach ręki, pozostawionych na murze „Teofila”, jeszcze inny pytał, co robi rząd, czemu dopuszcza do tego rodzaju ekscesów.

WIZJA LOKALNA

Dzień 13 września 1988 roku był wietrzny, deszczowy i zimny. W Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Piotrkowie Trybunalskim przygotowano się do niego solidnie, ale bez rozgłosu. Nikt nie powinien był wiedzieć, że tego dnia Mariusz Trynkiewicz przejdzie w asyście milicjantów, prokuratora oraz rodziców pomordowanych chłopców drogę, którą przebywał owego tragicznego 29 lipca, kiedy to poznał, zwabił do siebie, a potem zamordował troje dzieci.

O godzinie dziesiątej rano kilka milicyjnych nys rusza w drogę. Towarzyszą im milicjanci na motocyklach z Komendy Ruchu Drogowego. A wcześniej, od samego rana, cały teren wokół Bugaju — to znaczy lasy, brzeg zalewu, drogi i ścieżki — zostały zablokowane przez patrole milicyjne z psami. Na przestrzeni wielu kilometrów kwadratowych zamarł wszelki ruch pieszy i kołowy. U wylotu ulic prowadzących na Wierzeje stanęły autobusy z wygaszonymi silnikami: dziesiątki samochodów osobo-

y

wych utworzyły gigantyczny sznur, a ich właściciele raz po raz podchodzili do milicjantów i domagali się usunięcia zapór.

Wreszcie zjawiła się kawalkada niebieskich nys w eskorcie motocykli. Przytomność umysłu wykazali jednak dziennikarze: telewizyjna nyska po prostu dołączyła do milicyjnych, a dziennikarz łódzkiego tygodnika „Odgłosy” powołał się na zezwolenie, jakie rzekomo uzyskał od samego komendanta ¥/USW w Piotrkowie Trybunalskim. Dziennikarz przyjechał tego dnia do Piotrkowa w. zupełnie innej sprawie i tu dowiedział się o wizji lokalnej. Pomimo milczenia milicji i prokuratury, całe miasto nie mówiło o niczym innym jak tylko o tym, że Mariusz Trynkiewicz będzie dziś opowiadać i pokazywać, jak mordował chłopców.

Jest zimno. Milicyjne kordony — ile ich było? Trzy, może cztery — przepuszczają samochody i bardzo się dziwią, że zjawili się dziennikarze.

Mariusz Trynkiewicz, ubrany w więzienny strój, skuty za prawy nadgarstek z lewą ręką milicjanta w cywilu, wskazuje trawę. Natychmiast włącza się kamera, inny milicjant podsuwa mu mikrofon. Oficer MO w stopniu majora zdecydowanie przrt pędza dziennikarzy z bliskiego otoczenia Trynkiewicza. Mogą przyglądać się z daleka, z odległości pięćdziesięciu metrów. Dobrze i to. Fotoreporter „Odgłosów” natychmiast robi zdjęcia. Udaje mu się pstryknąć raz czy dwa i major, ściągając gniewnie usta, każe wszystkim się wynosić. I to natychmiast. Kamerzyści z łódzkiej telewizji nie zdążyli nawet wyjąć kamery.

Mariusz Trynkiewicz spokojnie odpowiada na pytania. Tu siedział — mówi — a tu stał jego motocykl. Chłopcy nadeszli stamtąd — -wskazuje na prawo — ale najpierw przystanęli obok wędkarza.

- Czy podejrzany pierwszy odezwał się do nich?
- Nie¹ pamiętam. Oni oglądali mój motocykl.
- O czym rozmawialiście?
- Nie pamiętam. Zapewne o motorze, może o rybkach albo o rozwielitkach...

W grupie osób towarzyszących Mariuszowi Trynkiewiczowi są

odzice pomordowanych chłopców. Ich stroje ostrą czernią oddają się od ubiorów pozostałych uczestników wizji lokalnej, odzice otrzymali specjalne przepustki, przedtem poddano ich czegółowej kontroli, szczególnie mężczyzn. Przecież wystarczy •ten ruch, jedno zdecydowane pchnięcie nożem, a Mariusz ynkiewicz zamilknie na zawsze. Minął bowiem zaledwie mie- *ąc od pogrzebu jego ofiar, od tej niezwyklej demonstracji ca- go miasta, które przyszło złożyć hołd pomordowanym, a ich dziców zapewnić o swoim współczuciu. Twarze czterech matek skamieniałe, to cztery Niobe z pustymi oczami, bo zabrakło uż w nich łez i teraz wypełnia je bezgraniczna nienawiść. Mil- ząco idą za mordercą ich dzieci, wsłuchując się w jego spo- oina, beznamiętną relację.

Wiatr chwilami cichnie i można nawet z tej odległości, w ja- kiej zatrzymali się dziennikarze, rozróżnić pojedyncze słowa: ..nie planowałem", „nawet nie zapytałem", „nie znam ich imion, dowiedziałem się dopiero niedawno", „nie pamiętam", „nawet się im dobrze nie przyjrzałem".

Za mostem przerzuconym nad rzeczką Wierzejką, przez któ- przechodzi droga łącząca Piotrków z miejscowością Koło (tędy ióźł zwłoki chłopców), nad brzegiem zalewu stoi Stanisław aczmarek.

— Dlaczego nie jest pan tam, obok Mariusza Trynkiewicza?

— Tam jest żona — odpowiada wymijająco.

— Nie otrzymał pan przepustki?

— Otrzymałem. Tylko wie pan, nie wiem, jakby się zachowa- wał.

— To znaczy, że nie ręczy pan za siebie?

— • Nie ręczę. Nie mam przy sobie noża ani pistoletu, to praw- da, ale moja nienawiść mogłaby mnie zaślepić.

— Może jednak warto byłoby tam być. Przecież Trynkiewicz opowiada o ostatniej drodze, jaką przeszli chłopcy...

— Panie redaktorze, ja mu nie wierzę. Kłamie, chce, aby uznano go za wariata. Pomyśl pan, czy jest to możliwe, żeby sam jeden zabił trzech chłopców? Nie bronili się, nie krzyczeli, nie wzywali pomocy?

- A pan, co pan o tym sądzi?
- • Tam musiał być ktoś jeszcze, jakiś jego kumpel, członek sekty satanistów. Nasze dzieci stały się ofiarami ich obrzędów.
- W Piotrkowie mówi się o satanistach, ale na dobrą sprawę nie ma dowodów ich działalności. Starałem się odnaleźć bodaj jedną ulotkę i nic. Jakoś tak się składa, że ludzie takie ulotki znajdują, ale potem one gdzieś przepadają.
- Ludzie się boją, panie redaktorze. Masz pan: teraz zginęło czterech chłopców, a ilu może zginąć jutro, pojutrze?
- Milicja przecież także poszukuje członków tej sekty...
- Milicji także nie wierzę.
- • Więc jest pan przekonany, że Mariusz Trynkiewicz nie mówi całej prawdy?
- I nie powie. Dopóki nie złapią kogoś z tej bandy, będzie milczał.

Milicjanci, trzymając psy na smyczach, chodzą po moście, niektórzy wspinają się na skarpe wznoszącą się nad parkingiem, na której wybudowano drewnianą wiatę dla turystów pragnących odpocząć i posilić się.

— Był pan już pod tą wiatą? — pyta dziennikarza Stanisław Kaczmarek.

- • Nie byłem. A co tam jest ciekawego?
- Znak Szatana!

Dziennikarz biegnie, za nim podąża fotoreporter. Milicjanci, widząc ich wspinających się w pośpiechu, także kierują się w tamtą stronę. Psy niespokojne strzygą uszami, naprężają smyczki, węższą.

Pod wiatą na jednej z ławek ktoś wyrył napis: „Zgwałcimy i porwiemy 4 następnych chłopców. SEKTA”. A pod tym odwrócony krzyż i podkowa.

- Cholera — mówi starszy sierżant. — • Kiedy to zrobili?
- Mnie pan o to pyta? — Dziennikarz przepisuje tekst do notesu, fotoreporter robi zdjęcie.
- Trzeba to zabezpieczyć — mówi milicjant.
- Zawiadom szefa — • poleca starszy sierżant. — • I trzeba będzie to usunąć.

— A nie mówiłem? — zwraca się do milicjantów Stanisław Kaczmarek. — Nikt mi nie wierzy: ani na milicji, ani w prokuraturze. A jak zginie jakieś dziecko, wtedy dopiero będzie la-rum. Bierzecie, panowie, ciężki grzech na swoje sumienie.

— Ja? — odwraca się starszy sierżant. — Ja biorę grzech na sumienie? A co to, ja prowadzę śledztwo?

— Nosisz pan mundur — ripostuje Stanisław Kaczmarek i zwracając się do dziennikarza pyta: — Pojedzie pan ze mną na miejsce, gdzie znaleziono ciała naszych chłopców?

— Pojadę.

— • Jedźmy teraz, potem, kiedy zaprowadzą tam Trynkiewicza, mogą pana nie dopuścić.

Ale dziennikarz chciałby nie tylko zobaczyć, lecz i usłyszeć to, co ma do powiedzenia Mariusz Trynkiewicz. Jak zareaguje, gdy znajdzie się na miejscu, gdzie nadal leżą resztki zwęglonych patyków, trawy i strzępy tkanin? Przecież przy zwłokach Wojtka Pryczka zemdłał, miał drgawki, lekarz musiał go cucić. Czy teraz także upadnie? Może rozpłacze się? Może zawyje z żalu i bólu? A może padnie na kolana przed matkami chłopców i będzie prosić o przebaczenie lub o zadanie mu śmierci?

— Jedziemy — mówi dziennikarz do Stanisława Kaczmarka. — Tam poczekamy na Trynkiewicza.

Miejsce na dukcie, gdzie Edward S. odnalazł zwłoki chłopców, niewiele się zmieniło w ciągu minionego miesiąca. Ten sam spokój wysokopiennego lasu, ta sama cisza, może tylko więcej żółci wśród ciemnej, jesiennej zieleni.

— Widzi pan — odzywa się Stanisław Kaczmarek — w tej chwili jest to dla mnie najważniejsze miejsce na ziemi. Tymczasem zawiesiłem tu, patrz pan, na tym drzewie, obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Wybuduję tu wkrótce symboliczny nagrobek, już rozmawiałem z leśniczym, zgadza się.

— Krzyś będzie miał dwa groby — odzywa się fotoreporter.

— Tak, nasze dzieci będą miały po dwa groby. Na Wszystkich Świętych będziemy palić świece na cmentarzu i tu, na tym¹ nagrobku. Boje się jednego: czy sataniści nie zniszczą go.

Tymczasem zjawiają się milicjanci na motocyklach, potem

w przesiekę wjeżdżają nysy. Od razu robi się tłoczno i ciasno. Stanisław Kaczmarek pokazuje przepustkę, dziennikarze legitymacje. Czarny mur matek okrąża miejsce spalenia zwłok. Wygląda to tak, jakby pragnęły uchronić je przed Mariuszem Trynkiewiczem.

— Proszę pokazać, jak podejrzany składał zwłoki.

Mariusz Trynkiewicz spokojnie, nawet flegmatycznie pozoruje układanie ciał.

— Na krzyż! — Krzyczy Stanisław Kaczmarek. — Ułożyłeś je na krzyż!

— Zwłoki ułożyłem w trójkąt — odpowiada spokojnie Trynkiewicz. — Potem wziąłem butelkę z benzyną, oblałem je i podpaliłem.

— Zapaliły się od razu?

— Nie, musiałem zużyć kilka zapałek.

Mariusz Trynkiewicz pokazuje, gdzie stał samochód, w jakiej odległości, w jaki sposób wyjeżdżał z przesieki.

— Czy podejrzany ma prawo jazdy?

— Tylko na prowadzenie motocykla.

— Więc jak podejrzany mógł prowadzić samochód, w jaki sposób wyjeżdżał z lasu, gdzie jest tyle drzew?

— Wtedy, to jest w nocy z 3 na 4 sierpnia, przyjechałem tu samochodem mego ojca.

— Zapytałem podejrzanego, czy posiada prawo jazdy upoważniające do prowadzenia samochodów. Podejrzany odpowiedział, że posiada prawo jazdy na motocykl. Natomiast nie usłyszałem odpowiedzi na moje następne pytanie: czy podejrzany umie prowadzić samochód?

— Odpowiadam: zwłoki chłopców przywiozłem w to miejsce samochodem mego ojca. Jest to wartburg.

— Czy podejrzany zrozumiał moje pytanie?

— Zrozumiałem. Odpowiadam ponownie: zwłoki chłopców przywiozłem samochodem mego ojca.

Stanisław Kaczmarek przysuwa się do dziennikarza.

— Słyszysz pan? Nie chce powiedzieć, że nie umie prowadzić,

bo w ten sposób musiałyby wskazać osobę, która wraz z nim była w czasie przewożenia chłopców.

— Tak pan myśli?

— Ja nawet wiem, kto mu w tym pomagał. Mówiłem na milicji i w prokuraturze. Nikt nie chce wierzyć, nikt! Ale ja dojdę prawdy, ja tego tak nie zostawię.

Wizja lokalna zbliża się ku końcowi. Mariusz Trynkiewicz wyjaśnia każdy szczegół, jest bardzo drobiazgowy i dokładny. Obserwującym go wydaje się, że z równym powodzeniem mówiłby o pogodzie, o rąbaniu drzewa czy o zbieraniu grzybów. A przecież cały czas mówi o śmierci. Na jego twarzy nie ma tego, co w literaturze romantycznej nazywało się „grą uczuć”; Trynkiewicz ma twarz obojętną, bezbarwną, obcą wszystkiemu, co jest dookoła. Dlatego na zgromadzonych wokół niego ludziach robi to tak przygnębiające, odrażające wrażenie, aż nie chce się wierzyć, że ręka, którą co jakiś czas porusza, zapewne na skutek ucisku kajdanek, ręka szczupła, predestynowana raczej do pędzla, może do smyczka, dusiła i zadawała ciosy myśliwskim nożem.

Zięb jest coraz większy, choć dopiero minęło południe. Tu, w lesie, nie odczuwa się buszującego w wysokich koronach sosen wiatru. Mariusz Trynkiewicz nie reaguje nawet na zimno, mimo że ubrany jest w więzienny drelich.

Powoli kończy się wizja lokalna. Technicy chowają sprzęt, kierowcy idą do samochodów, motocykliści już stoją obok swoich MZ. Tylko matki jak wyrzut sumienia trwają w bezruchu.

— Czy podejrzany — pyta ktoś — chciałby jeszcze coś powiedzieć, wyjaśnić lub uzupełnić?

Mariusz Trynkiewicz chwilę milczy, patrzy na czarno ubrane matki, które przez ten cały czas nie odrywały oczu od jego twarzy.

— Przepraszam matki tych dzieci za sprawiony im ból.

I odwróciwszy się idzie w kierunku samochodu.

PORTRET MORDERCY

Nikt nie jest jednowymiarowy ani trójwymiarowy. Na charakterystykę człowieka¹ składają się jego cechy zewnętrzne, które łatwo określić, oraz jego psychika, której nigdy nie udaje się całkowicie zgłębić. Jak zatem oświetlić ową tajemniczą głębię? Jak zbadać jej zawartość?

Portret Mariusza Trynkiewicza rysowało wielu wybitnych specjalistów: tych od psychologii i tych od psychiatrii. Wszyscy oni opierali się głównie na tym, co mówił badany, jak się zachowywał, jak reagował. Czy nakreślony przez nich wizerunek jest zatem w pełni udany? Czy nie zawiera czasem niedokładności, czy nie eksponuje zbyt tego, co zewnętrzne?

Poniższy opis będzie także zaledwie szkicem, częściowym opisem krótkiego życia człowieka, który mógłby stać się wartościową jednostką społeczną, a stał się zbrodniarzem. Gdzieś u początku swojej drogi życiowej, kiedy miał świadomość wyboru, wybrał wariant najbardziej odrażający.

Posłużmy się zatem materiałem uzyskanym od jego najbliższych, od znajomych, od kolegów ze szkoły i ze studiów i ułożmy z tych drobnych kamyków może nie obraz doskonały, lecz pstrą mozaikę, będącą jednak odbiciem osobowości Mariusza Trynkiewicza.

Urodził się 10 kwietnia 1962 roku w Piotrkowie Trybunalskim. Ojciec — inspektor szkolny, matka — laborantka medyczna. Jedynek. Od razu staje się przysłowiowym „oczkiem w głowie” rodziców i babci. Staje się centralnym punktem w domu, choć od najmłodszych lat zdradza objawy egocentryzmu, zamykania się w sobie, stronienia od rówieśników. Jednocześnie przejawia nieprzeciętne zdolności i rodzice posyłają go do szkoły, kiedy kończy sześć lat. Uczy się dobrze, lecz nadal lubi samotność, jest skryty. Z klasy do klasy przechodzi z opinią wzorowego ucznia, zawsze z nagrodą. Po ukończeniu szkoły podstawowej zostaje bez egzaminu przyjęty do liceum.

Mariusz Trynkiewicz od pierwszych dni czuje się w nowej



i

i

•j

szkole źle. Nie może zaakceptować ani kolegów, ani wychowawców. W tej sytuacji wybiera przetartą przez pokolenia uczniowskie drogę: wagary. Ojciec inspektor dowiaduje się o tym natychmiast, lecz rozmowy niewiele dają. Mariusz opuszcza lekcje, a w dzienniku przy jego nazwisku aż roi się od ocen niedostatecznych. Zrozpaczeni rodzice nie mogą tego pojąć: taki zdolny, taki inteligentny i nagle poddał się, zrezygnował.

Po długich i dramatycznych rozmowach z synem postanawiają przenieść go do Technikum Mechanicznego; kierunek — aparatura kontrolno-pomiarowa. Tu Mariusz jakby odnajduje siebie. Znowu staje się dobrym uczniem, właściwie pochłania wiedzę bez wysiłku. Bierze nawet udział w olimpiadzie wiedzy technicznej. Jest to sukces tym większy, że finaliści olimpiad mogą studiować na uniwersytetach i politechnikach bez składania egzaminów wstępnych. Mariusz Trynkiewicz postanawia zostać nauczycielem, właściwie pedagogiem jak jego ojciec.

Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości składa potrzebne dokumenty w krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej i zostaje przyjęty. Ale pech chce, że w tym czasie zmieniają się przepisy dotyczące rekrutacji do szkół wyższych i artykuł zezwalający finalistom olimpiad studiować bez egzaminu wstępnego zostaje anulowany. Mariusz musi więc pojechać do Krakowa i zdać egzamin. Ten fakt załamuje go zupełnie; jakby ziemia usunęła mu się spod nóg. Ilekć wysiłku kosztowało rodziców namówienie go do podjęcia studiów. Argumentowali rozsądnie i rzeczowo: po co jeździć do Krakowa czy innego miasta, skoro tu, w Piotrkowie, jest filia kieleckiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Będzie na miejscu, a jeśli zajdzie potrzeba, to ojciec, pracownik oświaty, pomoże.

Mariusz Trynkiewicz przystępuje do egzaminów i zdaje.

Niestety, nauka nie przychodzi łatwo. Uczy się nierówno, czasem wręcz źle. Przez trzy lata studiuje stacjonarnie, potem podejmuje pracę w Szkole Podstawowej nr 11, w tej samej, w której niegdyś się uczył. Ostatnie dwa lata studiów odbywa więc zaocznie.

Jakim zapamiętali go koledzy? Introwertyk, samotnik, stro-

macy od studenckiego życia, chodzący własnymi drogami. Z nikim nic go nie łączy. Na dobrą sprawę ci, z którymi był na jednym roku, z czystym sumieniem odpowiadają, że Mariusza Trynkiewicza tak naprawdę nie znają. Owszem, był wśród nich i taki milczek i odludek, ale jaki był, czym się pasjonował, jakie miał zainteresowania — nie wiedzą. A dziewczyny? Tu sprawa jest jeszcze bardziej niewyraźna i zaciemniona. W wielkim uproszczeniu można by jego stosunek do nich określić jako obojętny. Lecz to także nie będzie cała prawda. Później sam przyznał, że nawet starał się do nich zbliżyć, nawiązać jakieś więzy, jednakże nie rodziły się z tego głębsze przyjaźnie, a już w żadnym przypadku miłość.

Ten brak zainteresowania płcią odmienną zauważyli także jego rodzice. Matka, kochająca swojego jedynaka, pragnęła go widzieć szczęśliwym, mającym wierną i oddaną żonę, udane dzieci. Często poruszała ten temat, ale Mariusz zbywał słowa matki milczeniem lub wyjaśnieniami, które jej nie mogły przekonać. Kiedy bardzo namawiała go do założenia rodziny, wówczas wymyślił historyjkę niczym ze *Straszego dworu*. Otóż — powiedział — wszyscy chłopcy, a było ich zaledwie trzech na roku, złożyli ślubowanie, że żaden nie ożeni się przed dyplomem. Jakby więc wyglądało, gdyby się wyłamał, gdyby zdradził dwóch pozostałych? Przecież dał słowo, słowo dorosłego mężczyzny.

Był to niepokojący sygnał, choć z drugiej strony, jakby dla uśpienia czujności najbliższych, Mariusz Trynkiewicz zaczął „chodzić” z dziewczyną. Na dobrą sprawę, to ona „chodziła” z nim, bowiem — jak to dziewczyna — w marzeniach widziała swoją przyszłość u boku tego miłczkowatego, zamkniętego w sobie, ale nie pozbawionego tajemniczości chłopaka. Ich „chodzenie” było czysto liryczne, a właściwie platoniczne i sprowadzało się do wypadu do kawiarni, na krótki spacer, czasem do wspólnej nauki. Gdy taki stan zaczął się niepokojąco przedłużać, dziewczyna doszła do wniosku, że źle ulokowała swoje marzenia. Coraz bardziej czuła się z Mariuszem jak z przyjaciółką, a nie jak z mężczyzną. Tyle się naczytała, nasłuchiwała, naoglądała na filmach scen miłosnych, tyle snów prześniła pełnych namiętności, a tu

nic, on nie czynił żadnego gestu, żadnego ruchu, by jej dostarczyć owych wzniosłych, oszałamiających i porywających doznań. Jakby nie był mężczyzną!

Pracował w szkole, gdzie prowadził kółko fotograficzne i strzeleckie. Bardzo był w to zaangażowany. Właściwie nie rozstawał się z chłopcami, a kiedy przychodziły wakacje, jeździł z nimi na kolonie. Dyrekcja szkoły była zadowolona, kuratorium także. Taki chętny, taki zdolny, oddany młodzieży, taki bezinteresowny i tak lubiany przez chłopców.

Któregoś dnia zaskoczył rodziców: żenię się! — oświadczył. Tym wyznaniem wzbudził tyleż radości, co niedowierzenia. Może z nim wszystko w porządku? — zastanawiano się w domu. — • Może osądzaliśmy go pochopnie i zbyt surowo?

Matka, troszcząc się o jedynaka, poradziła jednak, aby urzędywistnienie tej decyzji odłożył na „po wojsku”. Kończą się studia, trzeba będzie swoje odsłużyć, więc po co komplikować sytuację małżeństwem? Ona tu, on tam, wieczne niepokoje, niepotrzebne wyjazdy, wydatki, napięcia, stresy. Wróci, to wyprawi się weselisko, jak się patrzy, takie, że stary gród trybunalski zaniemówi z zachwytu, zdziwienia i zazdrości.

Mariusz Trynkiewicz uległ namowom matki. Nie ożenił się, ; tym bardziej że dziewczyna, z którą „chodził”, miała dość nie- I wyraźnej sytuacji.

Lato 1986 roku spędzał przeważnie we Włodzimierzowie i często jeździł na Bugaj. Zatrzymywał swoją jawę, siadał i obserwował kąpiących się i biegnących chłopców. Wówczas czuł się w pełni zadowolony, odprężony. Często wszczynał z nimi rozmowy, obiecywał zapisać ich do kółka strzeleckiego, dużo mówił [o fotografii, hodowli rybek w akwarium, o zbieraniu znaczków. [Potem wsiadał na motocykl i odjeżdżał.

2 września 1986 roku podchorąży szeregowy Mariusz Trynkiewicz zameldował się w jednostce wojskowej w Koszalinie. I Ani on, ani rodzice nie byli z tej sytuacji zadowoleni. Gdzie [Piotrków, a gdzie Koszalin!

Przedsięwzięto więc odpowiednie kroki (działali rodzice i on sam) i wkrótce został przeniesiony do Skierniewic. Teraz do

domu można pojechać nawet na zwykłą przepustkę. I choć Trynkiewicz jako żołnierz nie wykazuje nadzwyczajnych chęci do opanowania regulaminów i treści wykładów, to jednak przełożeni zezwalają mu na wyjście na przepustkę.

30 stycznia 1987 roku szeregowy podchorąży zjawia się w Piotrkowie Trybunalskim. Ale nie jedzie do domu, lecz autobusem zdąża do Włodzimierzowa, do domku letniskowego rodziców. Autobus zatrzymuje się w Przygłowie i Mariusz Trynkiewicz wysiada. Do domków letniskowych jest zaledwie paręset metrów. Jest zimny wieczór, właściwie szarówka i świat pogrąża się w rozmazanym fiolecie. Prawdopodobnie tym samym autobusem, a może następnym, przyjeżdża także uczeń VIII klasy, uczęszczający do szkoły podstawowej w Sulejowie. We Włodzimierzowie mieszka jego ciotka.

Gdy autobus odjechał, a nieliczni pasażerowie rozplynęli się w szybko gęstniejących ciemnościach, z mroku wyłonił się mężczyzna.

- Mały, gdzie tu jest kościół?
- Kościół? O, tam.
- Nie wiem, czy trafię. Mógłbyś mnie zaprowadzić?
- Czemu nie.
- Mieszkaś tu?
- Nie, mieszkam w Sulejowie, tu mam ciotkę.
- W Przygłowie?
- We Włodzimierzowie.

— Coś takiego! Świetnie się składa, bo ja tam właśnie idę. Wiesz, mam pomysł: może pójdziemy do mnie, a potem do twojej ciotki?

- Do pana?
- Mam piękną kolekcję znaczków pocztowych...
- Eeee...
- Wiesz co? Dam ci prawdziwy nóż, wojskową finkę. Chcesz?
- Pewnie.

Mężczyzna wyjmuje finkę i podaje chłopcu. Jest ciemno i trudno ją dokładnie obejrzeć. Ale nóż jest duży, ciężki i chłopiec czuje, że jutro zadziwi kolegów.

— Nie pójdę — mówi. — Późno już i ciotka będzie się gniewać.

W tym momencie mężczyzna chwyta chłopca za kołnierz kurtki, odrywa go niemal od ziemi. W rękę ma drugi nóż —• taki, jakie noszą komandosi. Przystawia chłopcu do gardła:

— Krzykniesz — zarżnę!

Wlecze go kilka kroków, następnie zatrzymuje się i wyciąga plaster, którym usiłuje zakleić chłopcu usta. Ale plaster nie chce się trzymać, odpada.

— Idź! — poleca mężczyzna. —• I ani mru, mru!

1 Zatrzymali się przed jedną z furtek, potem weszli do domu. Tu mężczyzna zaczął zachowywać się dziwnie: palił papierosa za papierosem, chodził niespokojnie, coś mówił. W pewnym momencie chłopiec się zerwał i rzucił do drzwi. Był szybki. Dopadł furtki, choć słyszał za sobą kroki mężczyzny i jego oddech. Na szczęście na drodze pojawił się samochód. Fiat 126 p. Goniący mężczyzna ujrawszy światła reflektorów cofnął się, a chłopiec z krzykiem pobiegł za samochodem. Wszystko to rozegrało się w ciągu parudziesięciu sekund. Samochód zwolnił i zatrzymał się przed bramą zabudowań Henryka Łągwy. Chłopiec ciągle krzycząc wbiegł na podwórze i wpadł do domu. Chwytając otwartymi ustami powietrze, krztusząc się słowami, opowiedział o zdarzeniu. Henryk Łągwa pobiegł natychmiast do sąsiada i obaj popędzili na posterunek milicji. Pierwsze pytanie milicjantów do chłopca brzmiało:

— Odnajdziesz ten domek?

— Odnajdę. To niedaleko.

Ruszyli. Sprawa była poważna, przecież właśnie w tej okolicy nie tak dawno ktoś napadał na młodych chłopców, uprowadzał ich, a potem związanych, z foliowymi workami na głowach, zostawiał nad Luciążą.

— To tu — stwierdził chłopiec. — Ale ja się boję tam wchodzić.

— Nie damy cię teraz skrzywdzić — mówi milicjant. — Prowadź.



Otwierają drzwi do domku, wchodzi. Na tapczanie leży Mariusz Trynkiewicz.

*— Ten? — pyta milicjant.

— Ten — odpowiada chłopiec.

Mariusz Trynkiewicz resztę nocy spędza na posterunku, a rano zostaje odwieziony do Skierniewic, do macierzystej jednostki. Zostaje osadzony w areszcie, a Wojskowa Prokuratura Garnizonowa w Łodzi wszczyna śledztwo.

Zaczynają się przesłuchania. Mariusz Trynkiewicz nie przyznaje się do popełnienia czynów lubieżnych, nie przyznaje się także do uprowadzania nieletnich chłopców. Ale fakty świadczą przeciwko niemu. Bo oto w trakcie zbierania dowodów milicjanci natrafiają na innego chłopca, który także był więziony przez Mariusza Trynkiewicza w owym domku, 28 grudnia 1986 roku. Przebywał tam około trzech godzin, początkowo przywiązany do kraty okiennej, a Mariusz Trynkiewicz przed nim się obnażył, potem leżeli na tapczanie i Trynkiewicz gładził go po całym ciele. Wyprowadził go następnie w workiem na głowie i ze skrupowanymi rękami, tak że chłopiec nie wie właściwie, gdzie był i u kogo. Ale mężczyznę poznał od razu. -M

20 marca 1987 roku został sporządzony przeciwko Mariuszowi Trynkiewiczowi akt oskarżenia, a 6 maja odbyła się rozprawa. Oskarżony przyznał się do zarzucanego mu czynu. Tegoż dnia o godzinie czternastej Wojskowy Sąd Garnizonowy w Łodzi ogłosił wyrok: 1 rok pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem kary na okres dwóch lat, a także zakaz wykonywania zawodu nauczyciela przez jeden rok.

Jak przyjął ten wyrok? Raczej spokojnie. Jeśli nie liczy paromiesięcznego aresztu, w jego życiu nic się nie zmieniło. Znowo był wolny, nadal odbywał służbę wojskową. Jeśli brakowało, to kontaktów z młodymi chłopcami, ich śmiechu, ich beztroski, po prostu obecności. Będąc w Skierniewicach nie zawsze miał możliwość choćby obserwować ich z bliska. Ten brak kontaktu działał nań przygnębiająco, powodował, że wszystkie jego myśli skupiały się na jednym: być z chłopcami za każdą cenę. Swoje obowiązki żołnierskie postanowił wykonywać

jak najlepiej, zaczął przejawiać różne inicjatywy, choć przełożeni nadal nie byli w pełni z niego zadowoleni. Mimo to, za ledwie po miesiącu od zakończenia rozprawy sądowej, Mariusz Trynkiewicz otrzymuje przepustkę. Czy dowódca jednostki wojskowej popełnił błąd? Nie przewidział późniejszych wydarzeń? Należy przypuszczać, że działał w dobrej wierze, dając tym samym Trynkiewiczowi możliwość udowodnienia, że nigdy już nie wejdzie w kolizję z prawem.

Na początku czerwca Trynkiewicz jest w Piotrkowie na przepustce. W mieście jednak nie zabawia długo. Przebrany w cywilne ubranie, idzie na przystanek z zamiarem udania się do domku letniskowego swoich rodziców. W domu jednak oświadczył, że wraca do jednostki.

Tego dnia (jest 8 czerwca 1987 roku) o godzinie dziewiątej rano ze wsi Niechcice przyjeżdża do Piotrkowa trzynastoletni chłopiec, aby zdać egzamin do pierwszej klasy szkoły muzycznej. Przesłuchanie nie trwało długo. Zdał i został przyjęty. O godzinie jedenastej był już wolny i poszedł na dworzec PKP.

— Dokąd się wybierasz? — zagadnął go młody, szczupły mężczyzna.

— Do domu.

— Gdzie mieszkasz?

— W Niechcicach.

— Posłuchaj, jestem trenerem drużyny piłkarskiej. Przebywamy na zgrupowaniu w Sulejowie i dziś mamy do rozegrania bardzo ważny mecz. Pech chciał, że jeden z zawodników poważnie zachorował. Czy nie mógłbyś go zastąpić?

— Ja?

— Właśnie ty. Jesteś zgrabny, dobrze zbudowany i pewnie kopiesz piłkę?

— Trochę, w szkole.

— No więc jak? Pomożesz? Za występ otrzymasz piłkę i trzy tysiące złotych.

— Bo ja wiem? Muszę wrócić do domu...

— Zdażysz. Zaraz po meczu odwiozę cię na stację.

— Mama będzie się niepokoić...

— Bądź dorosły, przecież przywieziesz do domu pieniądze.
-No, jazda, chodźmy do autobusu.

Niestety, autobusu nie było, a czekać Mariusz Trynkiewicz nie zamierzał.

— Trudno--- powiedział do chłopca. — Trzeba złapać okazję.

Przygodnym samochodem dotarli do Przygłowa. Trynkiewicz poprowadził chłopca w stronę Włodzimierzowa, do swojego domku letniskowego. Na pytanie, co z meczem, odpowiedział niewyraźnie, nawet z pewnym rozdrażnieniem, że wszystko będzie w porządku.

W domku polecił chłopcu się rozebrać.

— Po co?

— Będę cię malował.

— A mecz, panie trenerze?

— Poczekamy do drugiej po południu. Jeśli nie nadejdzie autobus, to znaczy, że znaleźli już innego piłkarza. Zdarza się. A teraz siedź i nie ruszaj się.

Po jakimś czasie „pan trener” rzucił pędzel, umył ręce.

— Połóż się na tapczanie.

— Nie chcę spać.

— Połóż się, a ja cię trochę „posmyram”.

Chłopiec posłusznie położył się. Trynkiewicz zamknął okiennice, zgasił światło i także się położył. Jego ręka zaczęła wędrować po ciele chłopca: od brody na pierś, od ramion na brzuch.

Było cicho, nie rozmawiali ze sobą.

W pewnym momencie mężczyzna zerwał się, nawet jakby odepchnął chłopca od siebie. Sięgnął po papierosy i w bardzo krótkim czasie wypalił ich pięć.

— Proszę mnie wypuścić, panie trenerze — poprosił chłopiec.

— Leż cicho.

— Ja muszę do domu...

— Powiedziałem: leż cicho!

Chłopiec nie wiedział, co robić. Krzyczeć? Na takim odludziu nikt go nie usłyszy. Prosić? Bez sensu. Zorientował się też,

że nie będzie żadnego autobusu, żadnego meczu, że pan pałący papierosa za papierosem nie jest żadnym trenerem.

— Jeśli mnie pan nie wypuści, to jak stąd wyjdę, od razu pójdę na milicję.

Mariusz Trynkiewicz coś w sobie rozważał, jeszcze jakiś czas trwał w bezruchu, a potem wstał i otworzył drzwi.

Chłopiec szybko się ubrał i ile sił w nogach pognął w kierunku Przygłowa.

W tym czasie rodzice chłopca, zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością syna, przyjechali do Piotrkowa. Pierwsze kroki skierowali do Państwowej Szkoły Muzycznej, ale tam powiedziano im, że egzaminy skończyły się przed południem, a ich syn zdawał z gry na akordeonie, poszło mu zupełnie nieźle i został przyjęty. Teraz szkoła jest pusta, nikogo z nauczycieli nie ma, jest tylko portier. W tej sytuacji nie pozostawało nic innego, jak udać się na milicję i na pogotowie ratunkowe. Może tam uzyskają jakieś informacje. Jednak w obu tych instytucjach o chłopcu nic nie wiadomo.

Zrozpaczeni rodzice nie wiedzą, co robić dalej. Postanawiają wrócić do Niechcic, bo może rozminęli się z synem. Ku swemu zdumieniu i radości spotykają go na peronie dworca PKP. Chłopiec gęsto się tłumaczy, mówi trochę chaotycznie; jego opowieść jest tak niewiarygodna, że w pierwszej chwili wywołuje złość ojca. Dopiero gdy chłopiec zaczyna opowiadać o szczegółach swojej wizyty w domku letniskowym, kiedy mówi o drzwiach zamkniętych na klucz, o tapczanie, o pieszczotach, jakich stał się obiektem, rodzice czym prędzej zawiadamiają milicję. Jak później obliczono, Mariusz Trynkiewicz przetrzymywał chłopca około sześciu godzin.

I tym razem Mariusz okłamał rodziców. Kiedy przebywał jeszcze w domku letniskowym, do domu rodziców nadszedł telegram z jednostki wojskowej, informujący, że ich syn nie wrócił z przepustki. Ojciec i matka wsiadają przeto do wartburga i jadą do Włodzimierzowa. Syn przyjmuje ich bardzo niespokojny. Na pytanie, co się stało, mówi:

— Mamo, coś się wydarzyło.

I nic więcej.

Rodzice decydują, by natychmiast wracał do Skierniewic. Odwożą go nawet na dworzec.

Kiedy wrócili do domu, przed drzwiami czekali już milicjanci, od których dowiedzieli się, że ich syn popełnił przestępstwo w domku letniskowym.

W dniu 17 maja 1987 roku Wojskowa Prokuratura Garnizonowa w Łodzi wszczyna śledztwo. Ale Trynkiewicz wszystkim przeczy, zasłania się niepamięcią. Przyznaje, że był z chłopcem w domku, ale tylko siedzieli i on malował portret. Potem chłopiec poszedł. To wszystko.

Pięć dni później Mariusz Trynkiewicz zostaje aresztowany i trafia do aresztu śledczego na ulicy Smutnej w Łodzi. Wojskowa Prokuratura Garnizonowa sporządza akt oskarżenia (podejrzanie o przestępstwo z art. 165 § 1 kk w zw. art. 176 kk) i kieruje go do Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego, skąd dokumenty dotyczące oskarżonego wracają do Wojskowego Sądu Garnizonowego w Łodzi.

Kozprawa odbyła się w dniu 25 sierpnia 1987 roku, ale wyrok nie zapadł, gdyż Mariusz Trynkiewicz został skierowany na badania psychiatryczne i seksuologiczne. I dopiero 4 marca 1988 roku zapada ostatecznie wyrok: rok i sześć miesięcy pozbawienia wolności oraz zakaz wykonywania zawodu nauczyciela przez okres dwóch lat. Bez zawieszenia.

Teraz za sprawę bierze się adwokat. Po tygodniu składa on do Wojskowego Sądu Garnizonowego w Łodzi wniosek o udzielenie skazanemu przerwy w karze na okres pół roku. 1 kwietnia 1988 roku sąd udziela przerwy od 2 kwietnia do 2 sierpnia 1988 roku, a więc na cztery miesiące (wzięto pod uwagę, że przebywał w więzieniu 9 miesięcy, zachowywał się poprawnie, pracował w magazynie więziennym: czas na wolności Mariusz Trynkiewicz winien był poświęcić leczeniu neurologiczno-psychiatrycznemu, a także opiece nad matką, której stan zdrowia lekarze określili jako krytyczny).

Wraca — który to już raz — do Piotrkowa Trybunalskiego. Pobył w więzieniu bardzo go przygnębił, a jako największą ka-

rę uznał fakt odsunięcia go od pracy z młodzieżą. Jeździ więc teraz swoją jawą, obserwuje młodych chłopców, ale jakby nie ma odwagi zbliżyć się do nich. Taki stan trwa do 4 lipca 1988 roku, kiedy to zaprasza do siebie Wojtka Pr yczka, by po paru godzinach go udusić, a ciało wywieźć w nocy do lasu i tam porzucić.

Tymczasem adwokat czyni dalsze starania, by Mariusz Trynkiewicz jak najdłużej pozostawał na wolności. 29 lipca 1988 roku (w dniu, kiedy Trynkiewicz morduje w swoim mieszkaniu trzech chłopców) adwokat wnosi do Wojskowego Sądu Garnizowego w Łodzi o dalszą przerwę w karze. Prosi o całe sześć miesięcy, gdyż stan zdrowia jego klienta nie poprawił się, co w warunkach więziennych może mieć katastrofalne skutki. Także zdrowie jego matki jest zagrożone (cierpi ona na chorobę serca oraz jaskrę).

Sam Mariusz Trynkiewicz nadal nie czuje się najlepiej. Twierdzi, że ma wrażenie, że dzieje się z nim coś złego, że ktoś „trzyma go ręką za mózg”.

29 lipca 1988 roku był u rodziców około trzeciej po południu, ale krótko. Stwierdził, że musi wracać do siebie, bo oczekuje wizyty kolegi. Potem zjawił się raz jeszcze, dużo później, bardzo zdenerwowany. Przez wszystkie następne dni po zabójstwie był jakby naładowany, podekscytowany i twierdził ciągle, że źle się czuje. Gdy w telewizji nadano komunikat o znalezieniu zwłok zamordowanych chłopców, w domu państwa Trynkiewiczów również komentowano ten fakt.

— To straszne — powiedziała matka.

— No tak — przyznał Mariusz. — Czy może być amnesia, gdy dzieją się takie rzeczy?

— Wyrzuć te swoje noże — poradził ojciec. — Po co ci one?

— • Noże? — mruknął. — Co mają do tego noże?

— Tacy powinni otrzymać karę śmierci bez sądu —. powiedziała matka. . . .

Mariusz Trynkiewicz pilnie śledził komunikaty prasowe i telewizyjne, czyta! zachłannie gazety relacjonujące przebieg poszukiwań mordercy. Potem pojechał do Wojskowego Sądu Gar-

nizonowego w Łodzi, by dowiedzieć się, że przerwę w odbywaniu kary przedłużono mu na dalsze dwa miesiące, a więc do 3 października 1988 roku.

11 sierpnia Mariusz Trynkiewicz został zatrzymany pod zarzutem potrójnego morderstwa.

JESTEM CIEMNYM BLONDYNKIEM

Nad sporządzeniem psychologicznego portretu Trynkiewicza pracowało grono specjalistów. Ich opinie znajdują się w dalszej części niniejszej relacji, kiedy padnie kluczowe pytanie: czy mordując miał zdolność pojmwania swojego czynu? Natomiast teraz należałoby spojrzeć na Mariusza Trynkiewicza poprzez jego zapiski, notatki, listy. Jest tego sporo.

Analizując jego działania, można dojść do wniosku, że w cielesnej powłoce tego przeciętnie wyglądającego mężczyzny egzystują co najmniej dwie natury. Z powodu śmierci ulubionego kanarka albo psa cierpiał na bezsenność i utratę apetytu; odwoził później ulubieńca do Włodzimierzowa i tam urządzał uroczysty pogrzeb, a potem opłakiwał stratę. Natomiast po uduszeniu Wojtka Pryczka nie czuł nic, nawet wyrzutów sumienia, i od razu do swego czynu dorobił filozofię: nic *się* nie stało, niczego nie było, równowaga w świecie nie została zachwiana i wszystko można zacząć od początku. Jak rozumieć obie te reakcje? Z jednej strony pies lub kanarek, z drugiej człowiek. Mariusz Trynkiewicz także nie potrafił tego wytłumaczyć. Czy na pewno nie potrafił?

Po aresztowaniu, kiedy w zajmowanym przez niego mieszkaniu dokonywano oględzin, badano ślady krwi i szukano narzędzi zbrodni, znaleziono także sporo listów, notatek, rysunków, fotografii. Powstał z tego odrębny tom, który w toczącym się później procesie odegrał niemałą rolę w określeniu osobowości oskarżonego.

Rysunki. Szkicował przeważnie nagich chłopców, uwidacz-

niając ich narządy płciowe lub rysując wyłącznie męskie genitalia (za pozowanie płacił ponoć tysiąc złotych). Ponadto szkicował głowy tygrysów lub panter. Osobne miejsce zajmują rysunki noży: bagnet, nóż chiński, krótki nóż wojskowy, nóż skoczka spadochronowego, nóż niemiecki z czasów ostatniej wojny światowej...

Fotografie. Jest ich sporo i są monotematyczne. Są to fotografie młodych chłopców, w większości rozebranych do połowy, lub zdjęcia samych ich torsów. Są też grupy kochających się homoseksualistów.

Jest też coś w rodzaju quizu, a może rozmowy z samym sobą. Na kartce papieru zadał sobie siedem pytań i udzielił na nie odpowiedzi. Oto one:

Pytania

- 1 Gdzie byś widział skrzynkę kontaktową?
- 2 Chciałbyś mieć rodzeństwo inne niż teraz?
- 3 Czy odczułem, w jakiej formie stałem?
- 4 Co o tobie myślę (szczerze)?
- 5 Co byś sobie pomyślał o mnie, gdybym chciał się z tobą popieścić?
- 6 Jak to rozumiem?
- 7 Czy chciałbyś, za co chciałbyś i czy wiesz, o co chodzi?

Odpowiedzi

- 1 Rynek Trybunałski 1 skrzynka na listy numer 4.
- 2 Chciałbym mieć starszą siostrę.
- 3 Stałem w formie średniej, trochę bolała mnie lewa noga.
- 4 Myślę, że jesteś malarzem, nie dlatego, że chcesz zrobić, lecz że masz taką pasję, myślę, że jesteś żonaty i bezdzietny.
- 5 Pomyślałbym, że jesteś żartobliwy, ale tak na serio, nie lubię, jak ktoś się ze mną pieści.
- 6 Po prostu chcesz sprawdzić, czy mi odpowiadasz i czy mam do ciebie zaufanie. Niestety, ale tak.
- 7 Chciałbym, normalnie, że za forszę, po prostu chcesz uzyskać kilka modeli, z których później będziesz korzystał, co nie znaczy, że będziesz zarabiał.

Listy. Jest tego najwięcej. Są wśród nich te, które pisał do rodziców będąc w wojsku lub przebywając w zakładzie karnym, i są adresowane do różnych homoseksualistów. Te ostatnie rzucają pewne światło na osobowość Mariusza Trynkiewicza.

Zanim jednak zdecydował się na pisanie, sporządził tabelkę skrótów:

... "w — wysł. zgłoszenie na ogłosz.

O — nadesł. odpowiedź

Z —• zaproszenie do Piotrkowa

Ł — ja zostałem zaproszony

r — koniec z mojej strony

\7 — doszło do stosunku

g — zerwanie nie z mojej winy

. pierwszy list napisany

W tych listach Mariusz Trynkiewicz bardzo często spowiadał się ze swojego życia, aż do intymnych szczegółów, których zapewne nie mógł wyjawić ani rodzicom, ani kolegom — nauczycielom ze szkoły. Do jednego z respondentów napisał m.in. „...gdy miałem 12 lat (byłem młodszy, on miał 25 .lat) zostałem przymuszony świadomie po raz pierwszy do tego (choć naprawdę, gdy sięgnę pamięcią — to mój pierwszy kontakt z tym miał miejsce wtedy, gdy miałem 10 lat, ale nie zdawałem sobie wtedy z tego sprawy). I wszyscy —• tak jak w Pana ogłoszeniu — szukali sensu życia, czegoś takiego". I dalej: „...Może Pan naprawdę robić ze mną, co Pan chce, to znaczy może mnie Pan sprawdzać, może być romantyczny wstęp, mogą być różne inne rzeczy, jakie tylko Pan chce!!!"

Inseraty homoseksualistów naklejał na kopie wysyłanych do nich listów z odpowiedziami. Oto próbki:

„Samotni chłopcy, panowie. Chwycicie za pióra. Napiszcie: Chłopcy z Mopsu. Piotrków Trybunalski, skrytka pocztowa 188".

Odpowiedź Mariusza Trynkiewicza: „Chwytam za pióro i piszę. Mam 24 lata. Mieszkam w Piotrkowie. Byłbym zainteresowany, co to jest takiego Chłopcy z Mopsu. Interesuje mnie coś więcej, na jakiej zasadzie działacie i jak dzięki Wam nie być samotnym. Co się robi etc. Czekam na wiadomość".

^y „Spragnionego uczuć sympatycznego przyjaciela pozna przy-
stojny dwudziestodziewięciolatek. Fotooferty nr 34474”.

Odpowiedź:

„Proponuję 3500 zł, a od Pana zależy, co będzie chciał Pan
ze mną robić. Ja jestem gotów niemal na wszystko, ale proszę
mi napisać. Mam jeszcze swoje zdjęcie na golasa”.

„Warszawianin pozna chłopaka-dziewczyne. Fotooferty 34308”.

Odpowiedź:

„Mam 23 lata. Na imię mam Mariusz, chociaż używam też-
drugiego imienia Marek. Jestem ciemnym blondynkiem. Jeżeli
będzie to Panu odpowiadało — to mógłbym do Pana przyjechać
i być na Pana usługi”.

Otrzymane przez Mariusza Trynkiewicza odpowiedzi były po-
zytywne. Jednak do kontaktów bezpośrednich nie dochodziło. Raz
jeden zjawił się w Piotrkowie mężczyzna, który umieścił swój
inseerat w „Relaksie”, lecz znajomość od razu została przerwana,
gdyż przyjezdny był człowiekiem „dorosłym”, a Mariusz Tryn-
kiewicz wolałby, aby zjawił się chłopiec jedenasto-, trzynasto-
letni.

W Piotrkowie Trybunalskim i w jego okolicy działa grupa
homoseksualistów. Mariusz Trynkiewicz wiedział o niej, toteż
wysłał do jej członków list (sam otrzymywał korespondencję na
poste restante). Szybko nadeszła odpowiedź z zaproszeniem na
spotkanie. Ale on zwlekał, może nie miał odwagi, może bał się,
że ponownie trafi na „dorosłych”? ^{“*”} ”

Listy stanowią pewną ciekawostkę obyczajową. Z reguły są
na nich rysunki kwiatków lub grzybków, niektóre jeszcze teraz
fpo tyłu miesiącach) zachowały zapach perfum. Respondenci po-
dają w nich swoje zawody, piszą, czym się interesują, niektórzy
w stosunkach homoseksualnych upatrują sens życia. Uważnie
wczytując się w te listy, można dość łatwo określić stopień wy-
kształcenia i inteligencji piszących — aż roi się tam od błędów
ortograficznych, gramatycznych i stylistycznych.

Osobnym dokumentem są trzy kartki w kratkę, wyrwane ze
szkolnego zeszytu i zatytułowane Z. S. Jest to swoisty pamiętnik
kogoś, kto przygotowuje się do popełnienia samobójstwa. Mariusz

Trynkiewicz zastosował tu technikę obowiązującą przy starcie rakiet kosmicznych, a więc technikę odliczania. Ustalił więc dzień „K” i z mijającego czasu miał wykreślać dobę po dobie, by w pewnym momencie, gdy na liczniku pojawi się cyfra „zero”, odebrać sobie życie. i I

Oto ów zapis w jego charakterystycznym brzmieniu i układzie graficznym:

Nota bene!

Całkowicie (w 100%) może mnie odwieść od tego (+ +) zamiaru tylko j
jedna osoba, ta — która nie istnieje

Pn. 2 9 16 23 **30**
Wt. 3 16 17 24
Śr. 4 14 18 25
Cz. 5 12 19 26
P. 6 13 20 27
S. 7 14 21 28
N. 8 15 22 29

}Bjq Córa

Od dnia „K” (krytycznego) liczy się
czas w którym należy + +

Podpis

Dzień „K” ustalony na r. 85 10 01

Podpis

P. T. 1985 wrze. 24

Rejestr do Dnia „K” i po (tuż przed +)

- 1 Rozmowa z mamą nr 1
- 2 Rozmowa z mamą nr 2
- 3 Rozmowa z mamą nr 3
- 4 Przygotować sposób i formę
- 5 Zlikwidować zawartość kasetki panc.
- 6 Zlikwidować inne mater. kompr.
- 7
- 8
- 9 Przygotować się psychicznie
- 10 Przygotować (napisać) listy do niektórych osób
- 11 Zakończyć zeszyt „Słowa pożegnania”
- 12 Zlikwidować zap. papier, tygodn. i dzienne.
- 13 Zlikwidować ZS' — 10 (i fot 25 — 10)
- 14 Pożegnać się z niektórymi ludźmi

15 „Ostatnia rozmowa” z mamą — krótka inform.

16 Nastawić się psychicznie

17 Przygotować! się —• ostatnie przygotowania do ++

Nie bez znaczenia są też swoiste notatki, które Mariusz Trynkiewicz umieścił na drzwiach swego mieszkania od strony zewnętrznej. Są to metalowe nity, umieszczone na antabie zamka. Wszyscy zgodnie stwierdzają, że do lipca 1988 roku tych nitów nie było. Pierwszy pojawił się zaraz na początku miesiąca, a trzy pozostałe pod koniec. Pierwszy — twierdzą —• Mariusz Trynkiewicz umieścił po zamordowaniu Wojtka Pryczka, resztę po zabójstwie tamtej trójki. Na pytanie, czy sugestie sąsiadów odpowiadają prawdzie, Trynkiewicz zaprzeczył. Nity umieścił, bo tak było ładniej, a że czynność ta zbiegła się z terminem zamordowania chłopców, to czysty przypadek. Dziś nie dowiemy się prawdy, nie ustalimy, czy ozdabiając drzwi swojego mieszkania, istotnie chciał je upiększyć, czy też czynność ta to swoisty rodzaj zapisu, notatki tragicznych zdarzeń.

W ogóle drzwi mieszkania zwracają na siebie uwagę, szczególnie wizytówka wykonana **przez** Mariusza Trynkiewicza. Otóż w górnym prawym jej rogu, w miejscu gdzie znajduje się wizjer, zostało umieszczone miniaturowe okienko więzienne z wyraźnymi kratami. Jest **ono** zielone, co zapewne ma sugerować nadzieję. Nadzieję na co? Na to pytanie także nigdy nie uzyskamy odpowiedzi.

A przecież specjaliści, badając jego psychikę, jego osobowość, określili także stopień inteligencji. Przyjmując, że sto punktów oznacza wysoki stopień, Mariusz Trynkiewicz uzbierał ich aż sto dwadzieścia jeden. Zapewne było to niemałym zaskoczeniem nie tylko dla organów śledczych.

•u><†

PROCES

Na ten proces czekano z niecierpliwością i w podnieceniu. Nie obeszło się przeto bez komentarzy krytykujących wymiar sprawiedliwości. „Zrobią z niego wariata — mówili ludzie. — Posiedzi parę lat w Kochanówce czy innej Warcie i wypuszczą”.

Na długo przed procesem społeczeństwo wydało na Mariusza Trynkiewicza swój wyrok. Wyrok wydano także na jego rodziców, których jedyną winą było to, że mordercą dzieci okazał się ich syn. I jeśli dla Mariusza Trynkiewicza żądano kary śmierci, to dla jego rodziców społeczeństwo Piotrkowa Trybunalskiego miało w tych dniach jedynie pogardę i nienawiść.

Sam proces, właściwie miejsce, w którym miał się odbywać, także wywołał sporo kontrowersji. Jakby na to nie spojrzeć, fakt pozostaje faktem: zabójstwo czterech nieletnich chłopców przez nauczyciela nie zdarza się co dzień. A tu władze miejskie decydują, że rozprawa odbędzie się w budynku Sądu Rejonowego, w ciasnej salce, mogącej pomieścić jakieś pięćdziesiąt osób. Rozpoczęły się więc protesty, chodzenie do urzędów, żądanie zmiany decyzji. Całe miasto chciało uczestniczyć w tym procesie, każdy chciał z bliska ujrzeć mordercę. A tu — proszę! Najmniejsza z sal i wejście za okazaniem specjalnej przepustki.

12 września 1989 roku miał rozpocząć się proces „Szatana” — bo taki przydomek nadała Trynkiewiczowi opinia publiczna.

Budynek Sądu Rejonowego w Piotrkowie Trybunalskim mieści się nie opodal zbiegu ulic Strączyńskiego i Wojska Polskiego. Od rana, właściwie od świtu, obie te ulice wypełnił tłum. Najwięcej jednak ludzi zebrało się na ulicy Rycerskiej, która przylega do podwórza sądowego. Większość z czekających był” uzbrojona w pałki, kije i kamienie.

Proces miał rozpocząć się o godzinie dziesiątej rano, ale patrole milicyjne były już na miejscu od dziewiątej, potem zaczęły nadjeżdżać nysy. Teren wokół Sądu Rejonowego stał się nagle niebieski cd mundurów, Przed dziesiątą zjawili się przewodnicy z psami,

Ktoś krzyknął, że Mariusza Trynkiewicza będą wprowadzać do budynku od podwórza, od Rycerskiej. Tłum ruszył w tamtym kierunku. Kordon milicjantów z psami na smyczach z trudem utrzymywał porządek.

Tuż przed dziesiątą Mariusza Trynkiewicza przywieziono do sądu i wprowadzono głównym wejściem, przed którym nikt nie pikietował. Wówczas ludzie zebrani na ulicy Rycerskiej zaczęli krzyżeć. Nie było to skandowanie, lecz kakofonia okrzyków, powodująca drżenie szyb w sali rozpraw, której okna wychodzą na Rycerską. Można było rozróżnić: „Dajcie go nam!”, „Pokaż się, ty bandyto!”, „Wyjdź stamtąd!”, „Na drzewo go!” Milicjanci utworzyli szpaler, szczelny mur, psy niespokojnie strzygły uszami, lecz posłuszne komendzie swoich przewodników siedziały „u nogi”. Zgiełk wzrastał, płosząc stada gołębi, które jak oszalałe krążyły nad dachami. Niektórzy z krzyżących uderzali pałkami o rosnące wzdłuż ulicy drzewa, paru wyrostków wdrapało się na konary. Jakaś kobieta, cała w czerni, z rozpuszczonymi włosami, co chwila wybiegała z tłumu, robiła parę kroków i usiłowała rzucić kamieniem w okna sądu. Ale za każdym razem któryś z milicjantów uniemożliwiał jej wykonanie zamiaru. Tłum kipiał zemstą i gniewem, napierał. Milicjanci, by ochronić okna i zapewnić bezpieczeństwo ludziom znajdującym się już w sali rozpraw, zaczęli ustawiać nysy tak, by cały parter zasłonić przed oczami ciekawskich. Teraz zgiełk uliczny jakby przycichł, oddalił się, choć jego obecność będzie towarzyszyć procesowi przez całe trzy tygodnie.

Sala rozpraw jest mała, prawie połowę jej zajmują stół sędziowski, ławy dla oskarżycieli posiłkowych i ława dla oskarżonego. Wzdłuż okien stłoczyli się dziennikarze ze wszystkich niemal liczących się gazet i tygodników w kraju. Zwyczajnej publiczności zapewne nie wpuszczono, gdyż wszystkie miejsca zajęli biegli specjaliści, aspiranci sądowi oraz bliższa i dalsza rodzina pomordowanych.

Ławy dla oskarżycieli posiłkowych — w tym przypadku są nimi rodzice owych czterech chłopców, są ustawione vis a vis ławy oskarżonych. Dzieli je zaledwie trzymetrowa przestrzeń.

Niech zbrodniarz patrzy na czarno ubrane kobiety ze skamienia-
łymi twarzami, z których ból i cierpienie starły urodę i wyzło-
biły głębokie bruzdy, niech ma je nieustannie przed oczami,
niech widzi ich rozpacz i nienawiść. Blisko, bardzo blisko. Po
raz pierwszy matki będą mogły przez kilka dni spoglądać w twarz
katowi dzieci, człowiekowi, z którym ich życie zostało związane
nierozzerwalnymi więzami — tak silnymi, że nawet jego śmierć
tych więzów nie potarga. Te więzy to pamięć, bolesna, jątrząca
i nie znająca ukojenia.

Wysokiemu Sądowi przewodniczy sędzia Sądu Wojewódzkiego
go Marian Baliński. Obok niego zasiadają: sędzia Andrzej Sza-
weł, ławnicy — Jerzy Osiński, Seweryn Dryja i Jan Bożenek,
ławnikiem zapasowym jest Stanisław Malec.

Oskarża zastępcę Prokuratora Rejonowego, prokurator Mał-
gorzata Rona

W sali jest cicho. Szumi jedynie kamera telewizyjna i trza-
skają aparaty fotograficzne.

Ulica wre nadal, rozlega się ujadanie psów, o ścianę głucho
uderza kamień.

Mariusz Trynkiewicz składa wniosek, by rozprawa toczyła
się przy drzwiach zamkniętych, gdyż — argumentuje — nie ma
potrzeby robić z procesu widowiska. Sprzeciwia się temu proku-
rator, popiera ją pełnomocnik oskarżycieli posiłkowych, mecenas
Ryszard Łojewski.

Swoje oskarżenie pani prokurator wyłożyła na pięćdziesięciu
stronicach maszynopisu. Jest tam wszystko: tragiczne zdarzenia
z 4 i 29 lipca, jest przypomnienie o przeszłości Mariusza Tryn-
kiewicza i jego napadach na nieletnich chłopców, jest wreszcie
także próba nakreślenia sylwetki oskarżonego.

Mariusz Trynkiewicz siedzi nieruchomo, nie wykazując spe-
cjalnego zainteresowania. Słucha opisów zbrodni, jakby to była
opowieść dotycząca kogoś innego, może nawet fikcja literacka,
pełna okrucieństwa i przemocy. Siedzi lekko odwrócony, z twa-
rzą skierowaną w stronę zespołu orzekającego. Nie chce, czy nie
może spojrzeć w twarze matek i ojców pomordowanych chłop-
ców?

Pierwsza godzina, kiedy prokurator Małgorzata Ronc rysuje tło zbrodni i jej przebieg, jest chyba najbardziej dramatyczna. Rodzice chłopców siedzą tuż tuż, ich oczy ani na moment nie odrywają się od twarzy Mariusza Trynkiewicza. Dwa rzędy na czarno ubranych ludzi ze skamieniałymi twarzami, z sercami przepełnionymi nienawiścią. O czym myślą? Czy o swoich synach, którym żaden wyrok wydany na tej sali nie przywróci życia, czy o swoim złamanym życiu? Czy docierają do nich słowa pani prokurator?

Na sali mówi się nieustannie o śmierci. Słowo śmierć jest odmieniane we wszystkich przypadkach, we wszystkich możliwych zestawieniach, aż staje się czymś materialnym, rzeczywistym, obecnym na sali. Po twarzy matek zaczynają spływać łzy, usta załamują się w krzywe linie, palce mocniej zaciskają się na deskach ławek. A kiedy prokurator mówi o Krzysztofie Kaczmarku, jego matka nie wytrzymuje, zaczyna krzyczeć: „Zabił go! Zabił go!”, chwytą się za włosy, zrywa się z miejsca, zatacza po sali, aż ktoś usłużny otwiera drzwi na korytarz. Potem przez długie minuty słyhać jej przeraźliwe zawodzenie, zwielokrotnione echem odbijającym się wśród pięt, schodów i pustych korytarzy.

— Czy oskarżony zrozumiał akt oskarżenia i czy przyznaje się do zarzucanych mu czynów? — to głos sędziego Mariana Balińskiego.

— Zrozumiałem i przyznaję się.

— Czy oskarżony chciałby coś dodać lub uzupełnić?

— Nie. Wszystko, co miałem do powiedzenia, powiedziałem w śledztwie. Wyjaśnień nie będę składać, gdyż sąd nie uwzględnił mojej prośby, by rozprawa odbywała się przy drzwiach zamkniętych.

— W takim razie — mówi przewodniczący — będę odczytywał zeznania oskarżonego znajdujące się w aktach.

Ponownie zjawiają się obrazy z gorącego lipca 1988 roku. Dziennikarze, rodzice chłopców, biegli, aspiranci wysłuchują relacji — teraz opowiedzianej już przez Mariusza Trynkiewicza — o tym, jak zwabiał do siebie chłopców, jak ich mordował, owijał

w szmaty, przechowywał w piwnicy, by potem wywieźć do lasu, oblać benzyną i podpalić. Mariusz Trynkiewicz słucha własnych zeznań uważnie, ze skupieniem.

— Czy oskarżony — pyta w pewnym momencie przewodniczący — należał do sekty satanistów?

— Nigdy nie należałem do żadnej sekty.

Wstaje oskarżyciel posiłkowy, ojciec zamordowanego Krzysztofa Kaczmarka, Stanisław Kaczmarek.

— Oskarżony kłamie — mówi. — W mieszkaniu oskarżonego był odwrócony krzyż i podkowa. Ponadto oskarżony posiada odpowiedni tatuaż na prawym ramieniu.

Przewodniczący: — Czy oskarżony posiada tatuaż?

Mariusz Trynkiewicz: — Tak.

Przewodniczący: — Proszę zawinąć rękaw koszuli, sąd chce ten tatuaż obejrzeć.

Mariusz Trynkiewicz: — Proszę (zawija rękaw).

Przewodniczący: — Tatuaż przedstawia miecz przebijający koronę, na koronie jest litera „S”. Co oznacza ten tatuaż?

Mariusz Trynkiewicz: — Tatuaż ten jest pamiątką z wojska.

Przewodniczący: — Jaka jest jego symbolika?

Mariusz Trynkiewicz: — Żadna. To pamiątką z wojska.

Przewodniczący: — W aktach mamy opinię eksperta z zakresu symboliki tatuazu. Jego zdaniem motyw miecza i krzyża może symbolizować zemstę dokonaną. Oto szczegółowa opinia: „W grze tatuaży miecz oznacza narzędzie przestępstwa i zemsty, z tym że typowym, charakterystycznym jest miecz owinięty wężem. Często spotyka się sam miecz również jako symbol zemsty i narzędzie, którym zemsta została dokonana. Korona nad mieczem natomiast symbolizuje zemstę dokonaną. Symbol literowy może być skrótem literowym nazwiska lub imienia ofiary, ale nie musi”.

Mariusz Trynkiewicz: — Prostuję złożone wcześniej zeznania: tatuaż został wykonany w czasie mego pobytu w areszcie śledczym Warszawa-Mokotów, kiedy przebywałem na obserwacji psychiatrycznej. W momencie gdy ten tatuaż nakładano, nie wiedziałem, że jest to symbol zemsty...

Oskarżyciel posiłkowy Stanisław Kaczmarek: — Oskarżony kłamie. Wiem na pewno, że posiadał on tatuaż już w momencie aresztowania, a więc w sierpniu ubiegłego roku. Teraz twierdzi, że ten tatuaż nic nie znaczy, a ja twierdzę, że jest on dowodem przynależności Mariusza Trynkiewicza do sekty satanistycznej. Mord naszych dzieci był wyłącznie mordem rytualnym, którego dopuścili się czciciele Szatana.

Przewodniczący: — Słyszał oskarżony wypowiedź oskarżyciela posiłkowego. Czy chciałby się do tej wypowiedzi ustosunkować?

Mariusz Trynkiewicz: — Jestem jedynym sprawcą zabójstwa dzieci. Nie miałem żadnych współników. Nad Zalewem Sulejowskim i w Zarzęcinie w ogóle nie byłem.

Oskarżyciel publiczny Stanisław Kaczmarek: — Skoro oskarżony działał sam, to dlaczego od paru dni nasze domy w nocy ktoś obrzuca kamieniami? Kto urządza po nocach te wszystkie awantury i krzyki, które mają nas, rodziców, zastraszyć, a może wręcz zmusić do rezygnacji z udziału w procesie?

Mariusz Trynkiewicz: — Powtarzam raz jeszcze: nie należałem i nie należę do sekty satanistów. To, że znaleziono u mnie rysunek odwróconego krzyża, nie jest oznaką przynależności do sekty satanistów... Narysowałem to w takiej formie dlatego, że była to odwrotność symbolu Kościoła... Znienawidziłem Kościół w wieku dziesięciu lat, kiedy to ksiądz dokonał na mnie czynu lubieżnego, a teraz ten sam ksiądz wypowiada się o mnie w gazecie, że ja nie chodziłem do kościoła ani do komunii...

Na salę zostaje doprowadzony świadek, z którym Mariusz Trynkiewicz przebywał w areszcie śledczym Warszawa-Mokotów, i który, według słów Mariusza Trynkiewicza, wykonał mu tatuaż. Odbywa się krótka wymiana zdań.

Mariusz Trynkiewicz: — Oświadczam, że stojący przede mną świadek nakładał mi tatuaż podczas pobytu w areszcie śledczym Warszawa-Mokotów.

Świadek: — Nigdy w życiu nikomu nie nakładałem tatuażu. Ja nie umiem „wrzucać wzorków”.

Wysoki Sąd ogłasza przerwę w rozprawie. Milicjanci wypro-

wadzają Mariusza Trynkiewicza. Kiedy przechodzi obok ławki, na której siedzą rodzice pomordowanych chłopców, Regina Kaczmarek zrywa się i rzuca w niego pustą butelką po mleku. Rzuci niecelnie: chciała trafić w głowę, a uderzyła w plecy. Incydent stanie się pretekstem dla Mariusza Trynkiewicza, by tego dnia nie udzielać już żadnych odpowiedzi ani nie składać wyjaśnień. Uderzenie — mówi jego odwokat — spowodowało, że oskarżony poczuł się źle, rozboleła go głowa. Zwracam się przeto z prośbą, aby rozprawa została przerwana. Ale Wysoki Sąd nie uwzględni tego wniosku.

†

Proces trwa od 12 do 29 września 1989 roku; w tym czasie odbyło się osiem rozpraw, na które zjawiali się coraz to nowi świadkowie. Ich wyjaśnienia albo uzupełniały portret mordercy, albo dorzucały szczegóły do zdarzeń, które rozegrały się 4 i 29 lipca poprzedniego roku. Okazało się, że spora grupka osób mieszkających w tym samym budynku co Mariusz Trynkiewicz, w dniu zabójstwa trzech chłopców słyszała przerażający krzyk i słowa: „Ludzie, ratunku!”

Oto jedna z uczennic przygotowuje się do egzaminu z historii i siedząc przy otwartym oknie, usłyszała w pewnym momencie krzyk dziecka. Zdawało jej się, że to krzyczy ktoś z sąsiedniej klatki schodowej, nawet wyjrzała, ale krzyk się nie powtórzył. Jej matka, będąca w drugim pokoju, także słyszała ten głos, głos wołający o pomoc. Natomiast grupa osób siedzących przed domem na ławce i na trawniku słyszała nie tylko krzyk, ale i wyraźne słowa: „Ratunku! Ludzie, ratunku!” Nawet któraś z kobiet powiedziała: „To chłop tłucze swoją babę”. Natomiast jeden z mężczyzn utrzymywał, że nie był to głos kobiecy, a krzyk dziecka. Nawet wstał i przeszedł się wzdłuż budynku, lecz krzyk więcej się nie powtórzył. A kiedy później wrócił do domu, to opowiadając żonie o tym krzyku doszedł do wniosku, że to krzyczała kobieta. „Nie wiem — powiedział — czy to Zygmunt bił swoją, czy może drugi sąsiad swoją. Ale krzyczała fest”. Niestety, nikt wówczas nie skojarzył tych krzyków i wołań z potworną zbrodnią, która dokonywała się tuż obok, parę metrów nad ławką, na której siedzieli sąsiedzi Trynkiewicza.

Przed sądem zjawili się także wybitni specjaliści w swoich dziedzinach: seksuolog — doc. dr nauk med. Zbigniew Lew Starowicz, psycholog — mgr Eliza Gadoś i mgr Zofia Kowalska-Harmata, psychiatrzy z Łodzi — prof. dr nauk med. Andrzej Bukowczyk i dr nauk med. Jadwiga Szymczewska, a z Warszawy — • lekarze Józef Mielczarek, Wanda Poniatowska-Nawrocka, Marek Kleniecki i Krystyna Mołojec. Gdyby ich opinie zebrać i opublikować, powstałaby spora książka, świadectwo wysiłku naukowego, ale i szczegółowy obraz duchowy Mariusza Trynkiewicza. My przytoczymy tu jedynie konkluzje, które znalazły się w opiniach naukowców.

Opinia seksuologa: „Rozpoznaję u badanego biseksualną orientację płciową z cechami pedofilii... U badanego jest niepełna identyfikacja z rolą męską, dominuje tłumienie i wypieranie potrzeb seksualnych, zahamowanie... W zakresie zarzucanych badanemu czynów prawdopodobny jest mord z lubieżności... Wypieranie i tłumienie jawnych zachowań i potrzeb seksualnych, przy osobowości badanego skłonnej do ukrywania własnego JA, sprzyjać mogło rozwojowi wydłużonego w czasie podniecenia się napięcia seksualnego, którego rozładowanie dokonywało się w formie gwałtownej, pod postacią mordu z lubieżności. Ta hipoteza wydaje mi się najbardziej prawdopodobna w wyjaśnieniu zachowania badanego *in tempore criminis*. Forma stosowanej wobec tych chłopców przemocy (np. zadawanie wielu uderzeń nożem) w przypadku mordu z lubieżności oznacza symboliczną postać sadystycznego kontaktu seksualnego. Nie musi towarzyszyć temu erekcja czy wytrysk nasienia, rozładowanie seksualne może odbywać się na drodze odprężenia psychicznego, uczucia ulgi. Hipoteza ta nie wyklucza bynajmniej możliwości konkretnych seksualnych zachowań badanego wobec ofiar. Z powyższego najbardziej prawdopodobny wydaje się następujący etapowy rozwój psychoseksualny badanego: nieśmiałość i kompleksy — trudności w kontaktach heteroseksualnych — nieudany związek heteroseksualny — zainteresowanie homoseksualizmem jako formą zastępczą i mniej zagrożeniową — rezygnacja z kontaktów ho-

moseksualnych — • rozwój pedofilii zachowań od «łagodnych» do końcowej formy — mordu z lubieżności".

Opinia psychologów: „Z analizy uzyskanego profilu wynika, że u badanego w sytuacji trudnej lub konfliktowej dominują reakcje uczucia rozgoryczenia i gniewu na otoczenie oraz irytacji w postaci porywczosci, obraźliwości, szorstkości i podejrzliwości, tj. rzutowania wrogości na otoczenie... Pacjent ma zdolność planowania, jest jednostką o sporych ambicjach i potrzebie prestiżu, znaczenia... Uczuciowość pacjenta jest silnie egocentryczna, w małej mierze kontrolowana intelektem... W życiu emocjonalnym pacjenta jest mniej więcej równowaga między ujawnionymi emocjami pozytywnymi i negatywnymi. Uczucia pozytywne — dzielenia się z innymi są powierzchowne, o słabej intensywności, natomiast negatywne są bardzo silne, o dużym ładunku agresji do świata... Jego wypowiedzi wskazują bardziej na wypieranie i tłumienie potrzeb seksualnych niż na przeżywanie świadomych lęków seksualnych. Identyfikacja psychoseksualna zmierza w kierunku homoseksualnym. Pacjent sam identyfikuje się z silnym, agresywnym mężczyzną, kobiety spostrzega jako nieatrakcyjne, agresywne partnerki... Wnioski: 1 U Mariusza Trynkiewicza nie stwierdza się niedorozwoju umysłowego. Poziom jego inteligencji mieści się na wysokim poziomie, sprawność poszczególnych funkcji poznawczych jest wyrównana. 2 Nie stwierdza się u badanego objawów ograniczonego uszkodzenia centralnego układu nerwowego, uchwytnych badaniem psychologicznym. 3 Test projekcyjny, dane z wywiadu i obserwacji wskazują na głębokie zaburzenia osobowości z nieprawidłową identyfikacją psychoseksualną".

Opinia psychiatrów z Warszawy: „U Mariusza Trynkiewicza nie stwierdzamy choroby psychicznej, niedorozwoju umysłowego, zespołu psychoorganicznego. Rozpoznajemy u niego osobowość nieprawidłową z zaburzeniami psychoseksualnymi pod postacią biseksualizmu z cechami pedofilii. Opisane w aktach sprawy okoliczności i relacje Mariusza Trynkiewicza na temat krytycznych zdarzeń nie wskazują, by znajdował się on wówczas w stanie zaburzeń o charakterze psychotycznym lub jakościowych za-

burzeń świadomości. Podawaną przez badanego niepamięć najbardziej dramatycznych momentów wydarzeń oceniamy jako postawę obronną. Wobec niestwierdzenia u Mariusza Trynkiewicza choroby psychicznej, niedorozwoju umysłowego, zespołu psychoorganicznego nie znajdujemy podstaw do przyjęcia, aby w odniesieniu do czynów, o które jest aktualnie podejrzany, miał on zniesioną lub w stopniu znacznym ograniczoną zdolność rozpoznania znaczenia czynów i zdolność pokierowania swoim postępowaniem".

Opinia psychiatrów z Łodzi: „1 Mariusz Trynkiewicz nie wykazuje zmian psychotycznych, jest obdarzony bardzo wysokim (wskaźnik 121) poziomem inteligencji; 2 Mariusz Trynkiewicz wykazuje odchylenia w dziedzinie osobowości, popędowości seksualnej w sensie homoseksualizmu z pedofilią. Swój popęd seksualny wobec nieletnich realizuje z cechami algolagnii, tj. tendencji do sadystycznego zadawania bólu psychicznego i cielesnego; 3 W chwili popełniania inkryminowanych czynów rozumiał ich istotę i znaczenie w pełni; odnosił się i odnosi krytycznie do ich wykonania. Mariusz Trynkiewicz w czasie dokonywania zabójstw miał nieznacznie ograniczoną zdolność pokierowania swoim postępowaniem — ze względu na realizację działań o charakterze popędu seksualnego z tendencjami sadystycznymi".

WYKOK

29 września 1989 roku nad Piotrkowem Trybunalskim zawisło niskie, deszczowe niebo. Deszcz siąpił już w nocy. Rano rozpadało się na dobre, a porywisty wiatr sprawił, iż po raz pierwszy tej jesieni ludzie założyli ciepłe kurtki, płaszcze, czapki, berety. Miasto — to piękne, stare miasto, związane z dziejami naszej państwowości — także jakby zszarzało, zbrzydło, zmieniło się w skupisko bezbarwnych budowli. Tylko przed budynkiem Sądu Rejonowego na ulicy Strączyńskiego dyżurują milicyjne nysy

i chodzą patrole. Nie ma natomiast tłumu, który pierwszego dnia procesu domagał się wydania Mariusza Trynkiewicza, tłumu pałającego zaślepioną zemstą, prącego do samosądu. Cisza, pustka, zacinający deszcz, pojedyncze osoby wchodzące do budynku. Milicja przepuszcza, nie zatrzymuje, nie sprawdza przepustek.

Co się stało? — zadają sobie pytanie dziennikarze. Gdzie podział się tłum uzbrojony w pałki i kamienie? — dziwią się przedstawiciele prawa. Są to jednak pytania bez odpowiedzi. Proces trwał prawie trzy tygodnie, gazety zamieszczały sprawozdania, były migawki z sali sądowej w telewizji, o procesie mówiono w radio, o jego przebiegu opowiadali „na mieście” świadkowie zgłaszający się na rozprawę. Trzy tygodnie to sporo i najbardziej rozpalone namiętności zdażyły przygasnąć. A do tego ten uporczywy chłód i deszcz.

W budynku Sądu Rejonowego — jak zresztą co dzień — w kilku salach toczą się rozprawy i teraz proces Mariusza Trynkiewicza staje się po prostu jedną z takich rozpraw. Jednak aby być obecnym na niej, należy okazać przepustkę: tego żądają milicjanci ustawieni w poprzek korytarza. A jednak się boją? Nikt nie może zagwarantować, iż na salę nie przedostanie się ktoś, kto pragnie za wszelką cenę wykonać wyrok na Mariuszu Trynkiewiczu.

O godzinie dziesiątej sala jest pełna: dziennikarze, rodzina pomordowanych chłopców, oskarżyciele posiłkowi, zespół orzekający, prokurator, obrońca, aplikanci sądowi, oskarżony w asyście milicjantów. Cisza. Wyczekiwanie. Napięcie. Wszyscy stoją.

Przewodniczący sędzia Sądu Wojewódzkiego Marian Baliński zaczyna odczytywać wyrok w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Mówi głosem spokojnym, a przecież mówi o straszliwych zbrodniach, właściwie⁵ nieustannie mówi o śmierci. O śmierci czterech nieletnich chłopców, potem o śmierci dla ich zabójcy. Za każdą zbrodnię — śmierć!

Mariusz Trynkiewicz słucha wyroku ze spokojem, nawet jakby obojętnie. Jak gdyby rzecz dotyczyła kogoś innego, kogo za ileś tam dni zaprowadzą do pomieszczenia bez okien, ze zwisa-

jąca z sufitu pętlą i zapadnię w podłódze. Reakcję na wyrok można było jedynie zauważyć wśród ludzi wypełniających salkę. Tęga blondynka tak zacisnęła usta, że stały się fioletowe, mężczyzna stojący obok ławki dla prasy zaplótł palce rąk z taką siłą, że aż pobieleły. Wszystkie twarze zwrócone na mordercę, twarze wrogie, pełne nienawiści, a może i utajonej satysfakcji. Ludzie zapewne czekali bodaj na chwilę słabości skazanego, na odruch bólu czy żalu, nawet zwyczajnego strachu. Ale nic takiego nie pojawiło się: Mariusz Trynkiewicz nie poruszył się, nawet nie zamrugał. Kamień. Stał w otoczeniu milicjantów nie odrywając wzroku od człowieka, który w imieniu PRL, w imieniu wyższych racji, w końcu w imieniu wszystkich zgromadzonych na sali i tych spoza budynku, a także wszystkich obywateli Rzeczypospolitej obwieszczał, że oskarżonego Mariusza Trynkiewicza uznaje się za winnego dokonania czynów zarzucanych ktem oskarżenia i, skazuje: „Na podstawie art, art. 66, 68 § 1, 71 § 2 kk za zbiegające się przestępstwa w miejsce wszystkich wymienionych w punkcie 1, a, b, c wyroku kar, orzeka w stosunku do oskarżonego Mariusza Trynkiewicza jedną karę łączną w postaci kary śmierci i pozbawienia praw publicznych na zawsze”.

Tak było 29 września 1989 roku w Sądzie Rejonowym w Piotrkowie Trybunalskim. A dzień później na murach szacownego grodu zaczęły pojawiać się metrowej długości napisy: „TRYNKIEWICZ” i obok znak Szatana: odwrócony krzyż.

ROZMOWA W CELI ŚMIERCI

Do aresztu śledczego w Łodzi jedzie się ulicą Smutną. Po obu jej stronach na przestrzeni setek metrów ciągną się mury cmentarne. Teraz, w początkach zimy, tysiące grobów przykryły czapy śniegu, nad którymi sterczą sieroco obnażone krzyże. A je-

szcze wyżej — całe w iskrzącej się bieli —• stoją nieruchome drzewa. Wszystko to sprawia — ulica, szary mur w śnieżnym nakryciu, drzewa jakby okutane w cukrową watę — że droga do aresztu śledczego napawa nostalgią. Do tego jak na ironię zaraz za cmentarzami ktoś ustawił znak drogowy: „Droga bez wylotu"! Od razu nasuwa się skojarzenie z drogą bez powrotu. Dla wielu skazanych była ona rzeczywiście ostatnią drogą, jaką przemierzali w swoim życiu. Czy dla Mariusza Trynkiewicza także?

Pierwszego dnia, kiedy został przywieziony do aresztu śledczego (stąd rok temu wyszedł na kilkumiesięczną przepustkę, więc w zasadzie wracał do dobrze znanych sobie murów) do jego celi wdarli się więźniowie, kryminaliści odsiadujący tu swoje wieloletnie wyroki.

— Wyhuścimy go! — zdecydowali.

Trynkiewicz wie, co to znaczy. Słowo „wyhuścić" ma tu zło~wrogie znaczenie. Tak w gwarze więziennej mówi się o wykonaniu wyroku śmierci przez powieszenie. W specjalnym pomieszczeniu skazanego się „huścą" i wówczas całe więzienie przeżywa podniecenie i niepokój. Mimo że wszystko odbywa się w ściśłej tajemnicy, to przecież wieść o „huścaniu" dociera do każdej celi.

Mariusz Trynkiewicz zrozumiał, że to koniec. W żadnym więzieniu nikt ze skazanych nie darzy sympatią zbrodni, a już morderstwa z lubieżności wywołują wyjątkową odrazę i gniew.

— Na okno go!

I niechybnie Mariusz Trynkiewicz zostałby „wyhuścany", zanim uprawomocniłby się wyrok Sądu Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim lub zanim zostałaby uchwalona amnestia.

Nagle ktoś zawołał:

— Stop! Rozważmy sprawę raz jeszcze.

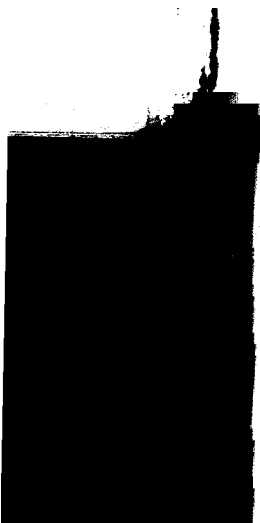
— O co chodzi? I tak będą go „huścić"!

— Właśnie o to chodzi, że będą. Więc dlaczego mamy wyręczać klawiszy?

— My tylko przyspieszymy sprawę. No, to jak, teraz go „huścimy", czy zrobimy to wieczorem?



i



— Mówię wam, że zostawmy to klawiszom. Niech oni też mają jakąś przyjemność.

— Panowie, nie brudźmy sobie rąk — powiedział w końcu ten, który dowodził grupą. — Zostawmy tę padlinę.

Były to najdramatyczniejsze chwile w życiu Mariusza Trynkiewicza. Jeszcze dziś na wspomnienie tamtego dnia dostaje dreszczy. W każdym więzieniu obok praw zawartych w regulaminie i przepisach jest twarde, niezłomne prawo wewnętrzne obowiązujące więźniów. Nikt nie wie, kto i kiedy je ustanowił (nie ma przecież żadnych zapisów), lecz złamać jego zasady to podpisać na siebie wyrok śmierci.

Sporo czasu upłynęło, nim dziennikarzowi udało się dotrzeć do Mariusza Trynkiewicza. A kiedy wreszcie doszło do spotkania, kiedy można było porozmawiać nie jak strażnik ze skazanym, lecz jak ktoś, kto chciałby znać całą prawdę o drugim człowieku, z kimś, kto o tej prawdzie mógłby opowiedzieć, okazało się, że tego dnia Trynkiewicz jest zestresowany. Nie godzi się na rozmowy, gdyż — tak przynajmniej twierdzi — nie potrafi się skupić. Na dziennikarzu robi to wrażenie minoderii. Mariusz Trynkiewicz tego dnia ma pretensje do służby więziennej, do sądu w Piotrkowie, właściwie do całego świata. Jakby nie chciał zrozumieć lub pamiętać, że to świat ma do niego ogromny żal, i że on, morderca czworga dzieci, nie jest tego świata pępkiem.

Dziennikarz postanawia przeto zostawić pisemne pytania. Takie pytania zawężają krąg spraw, które mogłyby być poruszane w trakcie bezpośredniej rozmowy, a ponadto uniemożliwiają otwarcie się wobec interlokutora.

Tak więc z planowanej rozmowy zostało siedem pytań i tyleż odpowiedzi Mariusza Trynkiewicza. Oto one:

Pytanie: Jak pan siebie widzi, to znaczy, gdyby miał pan nakreślić swój wizerunek, jak by go pan przedstawił?

Odpowiedź: Teraz, po tym, czego dokonałem, mój wizerunek jest bardzo niewyraźny. Trudno mówić cokolwiek więcej na **ten** temat. To, czego dokonałem, zaprzecza temu, do czego zmierziałem.

Pytanie: Obserwowałem pana podczas wizji lokalnej i w czasie procesu. Był pan bardzo spokojny czy tylko opanowany?

Odpowiedź: Jak wiem, zawsze byłem uznawany za człowieka spokojnego. I sam o sobie również mogę powiedzieć, że jestem raczej spokojny, co nie wyklucza absolutnie faktu, że w sytuacjach stresujących zwracam uwagę (lub raczej dzieje się to niejako automatycznie, już) na to, by kontrolować się i być mimo wszystko opanowanym. Nawiasem mówiąc, miałem w życiu niejednokrotnie okazję, by nauczyć się opanowywać w sytuacjach, o których wspominałem. Wizja i proces sądowy, o których pan wspomina, są, jak sądzę, porównywalne — w pewnym sensie — z egzaminem o dużym stopniu trudności.

Pytanie: Ile jest w panu Mariuszów Trynkiewiczów?

Odpowiedź: Nie liczyłem ich. Ale „Mariusz Trynkiewicz” nie jest na pewno jeden, choć ja utożsamiam się tylko z jednym — tym dobrym oczywiście, z tym z lat 1984—1986, choć i na pewno z tych lat wcześniejszych.

Pytanie: Złożył pan odwołanie od wyroku Sądu Wojewódzkiego, a więc ma pan nadzieję. Nadzieję na co?

Odpowiedź: Odpowiem pytaniem: czy złożenie odwołanie od wyroku musi być równoznaczne z nadzieją na „coś” — jak pan to określa (?) Nie zaprzeczam jednak, że moi rodzice i ja na coś liczymy.

Pytanie: Czytając pańskie notatki, słuchając pana w czasie procesu, muszę stwierdzić, że w ciągu pańskiego dorosłego życia towarzyszyła panu obecność śmierci. Chciał się pan sam zabić, potem zabijał. Czyżby śmierć była jedynym sposobem na ludzkie kłopoty, na stresy? W pańskim przypadku — użyję paradoksu — śmierć jest swoistym sposobem na życie. A może się mylę?

Odpowiedź: Śmierć chyba nie jest jedynym sposobem na ludzkie kłopoty i stresy. Myślę, że śmierć nie powinna być sposobem na cokolwiek! Myli się pan myśląc, że gdy zabijałem — w tym właśnie chciałem znaleźć rozwiązanie moich problemów.

Pytanie: Był pan pedagogiem, a więc kimś, kto zaszczepia młodym ludziom wartości moralne. Czy dziś byłby pan w stanie cokolwiek przekazać dzieciom ze szkół podstawowych?

Odpowiedź: Oczywiście. Tu wracam do mojej odpowiedzi na pytanie trzecie. Mariusz Trynkiewicz — nauczyciel istnieje przecież we mnie nadal i on na gorsze nie zmienił się na pewno, a chyba złym pedagogiem nie był. Sam nie użyję tu słowa, że był lubiany. Sądzę, że każdego nauczyciela oceniać powinni przede wszystkim jego uczniowie i oni powinni stosować tu odpowiednie przymiotniki, określenia. A jak mnie oceniali moi uczniowie, wnioskuję jedynie z tego, jak traktowali mnie jako nauczyciela. I nie było to chyba ani tolerowanie, ani obojętność. Nigdy, podkreślam, że nigdy nie wyznawałem zasady: „Nie muszą mnie lubić, byleby się bali” — czego, jak wiem, niektórzy nauczyciele trzymają się podczas wszystkich swoich kontaktów z dziećmi i młodzieżą. •••^uJsću

Nie wiem, co pan miał na myśli pisząc: „Czy byłby pan w stanie...” — a co do wartości moralnych, to nie ubliżając panu ani pańskim kolegom — są ludzie, którzy bardzo często zapominają o jakichkolwiek wartościach moralnych. Co wtedy należałoby pomyśleć o ich nauczycielach. (Ale to tylko tak, krótko, w obronie moich byłych uczniów, bo przez jakiś czas byłem przecież nauczycielem). A poza tym, to czy ja mam prawo teraz mówić cokolwiek o wartościach moralnych? Co by ludzie sobie pomyśleli?

Pytanie: Ostatnie pytanie, może najtrudniejsze: czy myśli pan o swoich rodzicach, którzy w wyniku pańskiego czynu znaleźli się poza społeczeństwem, a mimo to muszą w tymże społeczeństwie żyć?

Odpowiedź: To, że rodzice moi znaleźli się poza społeczeństwem, jest chyba winą właśnie społeczeństwa (tego, które ich odrzuca). Jak wiem, osoby dawniej bliskie mnie i moim rodzicom, oraz osoby, które zastanowiły się trochę i znają sprawę — niektórzy może nawet bardzo dokładnie — pozostali przynajmniej dla moich rodziców nadal bliscy, uprzejmi i chętni po-

móc, gdyby zaistniała taka konieczność; moi rodzice wiedzą, : na nich zawsze mogą liczyć. Czynu, który popełniłem, niestety się nie wróci, ale czy musi on być powodem mszczenia się *m* moich rodzicach? To chyba świadczy tylko i wyłącznie o społeczeństwie. W niechlubnej historii jednego ze społeczeństw — europejskich zresztą — był już przypadek, stosowany często, który dotyczył rodziny winnego — wyniszczenia do trzeciego stopnia pokrewieństwa, nawet. Czy nasze społeczeństwo ma korzystać z tych „wzorów”, czy powinno z nich korzystać? O tym chyba zadecyduje samo społeczeństwo, a to, co wybierze, będzie świadczyć, jak już wspominałem, o nim samym.

Jeżeli ja mogę w ogóle coś radzić! Nie! Nie radzić, a po prostu powiedzieć swoje zdanie: to — jeśli jest się świadomym tego, co się robi, to chyba najpierw lepiej jest pomyśleć, a później do[^] piero coś robić. I nigdy odwrotnie. A

A poza tym — te wszelkiego rodzaju publikacje odnośnie mojej sprawy nie służą na pewno temu, by sytuacja przynajmniej nieco uspokoiła się — przynajmniej dla moich rodziców.

Jest pan w błędzie formułując takie pytania. Ale myślę, że jest to „błąd celowy”. Toteż niechętnie udzielam odpowiedzi dla dziennikarzy, których publikacje są tendencyjne. Pytania, które pan przygotował, zmierzają, oczywiście, do jednego celu — by moje słowa potwierdziły to, o czym pan już napisał (w przygotowywanej publikacji), bez względu na to, jakie będą te moje odpowiedzi — kwestia interpretacji, użycia odpowiednich omówień, etc. I chyba właśnie dlatego niechętnie na te pytania udzielam odpowiedzi. Pewien oficer KG MO powiedział mi kiedyś, że dziennikarze *to* są największe hieny w tym kraju — i ja się z tym zgadzam, zwłaszcza teraz, gdy widzę, do czego są zdolni.

Szkoda, że nie rozmawiałem z panem, zanim rozpoczął pan pisanie tej książki — trudno, choć sądzę, że nic by się nie zmieniło. Zapytam teraz (choć wiem, że jest to pytanie retoryczne): co chce pan osiągnąć wydając tę książkę czy pisząc jeszcze jeden artykuł więcej dla prasy? Obawiam się, że chodzi panu tylko o „pieniąжки”; bo myślę, że o mojej sprawie zostało już napisane tyle, że każdy, kto był zainteresowany — zna sprawę.

1

O „pieniąжки więc — proszę się zastanowić, jakim kosztem i czy warto? Myślę tu przede wszystkim o swoich rodzicach.

Autor niniejszej książki, po zapoznaniu się z odpowiedziami Mariusza Trynkiewicza, mógł jedynie westchnąć: znów wszystkim winni są dziennikarze!

Wrzesień — grudzień 1989

Post scriptum:

Zanim uprawomocnił się wyrok Sądu Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim, Sejm uchwalił „Ustawę o amnestii” (7 XII 1989) . w wyniku której Mariuszowi Trynkiewiczowi zamieniono .•••; śmierci na 25 lat pozbawienia wolności.